ZAPOMNIANA TAJEMNICA: ZAMEK CZOCHA I MASONI

ODKRYWCA®

SKARBY • WOJNA • HISTORIA

NR 6 (233) CZERWIEC 2018 CENA 14,70 ZŁ (W TYM VAT 5%) NAKŁAD 12 100

> STALOWA STRONA TWIERDZY POZNAŃ

> „WĘDRÓWKA" ŻELBETOWEGO KOLOSA. KOLEJNY POLSKI SCHRON URATOWANY

ISKRY W MORZU OGNIA

WALKA O PŁOMIEŃ WŚRÓD BITEWNYCH PÓL

> PODZIEMIA KAMIENNEJ GÓRY W ŚWIETLE MATERIAŁÓW BEZPIEKI. KOLEJNA ODSŁONA

www.odkrywca.pl

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Więcej czasopism o historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

SPIS TREŚCI

CZERWIEC 2018

ODKRYCIA I POSZUKIWANIA

4 KULISY PENETRACJI PODZIEMI W KAMIENNEJ GÓRZE
TOMASZ RZECZYCKI

10 SYMBOLE MASOŃSKIE W ZAMKU CZOCHA
PIOTR KUCZNIR

KULISY HISTORII

16 POLOWANIE NA WILHELMA KOPPEGO. CZĘŚĆ 2
LESZEK ADAMCZEWSKI

24 JAK LIŚCIE GNANE WIATREM HISTORII... KRES KORPUSÓW POLSKICH NA WSCHODZIE: MAJ-CZERWIEC 1918 R.
PIOTR GALIK

30 BLÜCHER – MARSZAŁEK W CIĄŻY ZE SŁONIEM...
ROBERT MAZIARZ

34 ZWIERCIADŁA WOJNY. CZĘŚĆ 1
JACEK JAWORSKI

KOLEKCJONERSTWO

36 NIEZWYKŁE OBLICZA ZWYKŁEJ LAMPY
JANUSZ CHMIELNIAK

44 „ÓSEMKA" NA BARETCE BRYTYJSKIEJ AFRICA STAR
BARTŁOMIEJ BŁASZKOWSKI

48 WYSTARCZY JEDNA ISKRA... CZĘŚĆ 32
TOMASZ BIENEK

FORTYFIKACJE

56 URATOWALI POLSKI SCHRON Z 1939 ROKU. I TO W JAKI SPOSÓB!
MACIEJ KULESZA

62 WYKONAWCY STALOWYCH ELEMENTÓW TWIERDZY POZNAŃ
ARTUR JACOLIK

FELIETON

70 KSIĘCIUNIO
RADOSŁAW BICZAK

71 **KSIĘGARNIA „ODKRYWCY"**
NOWOŚCI CZERWCA

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Więcej czasopism o historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

KULISY PENETRACJI PODZIEMI W KAMIENNEJ GÓRZE

TOMASZ RZECZYCKI

Porzucone przez Niemców podziemia w Kamiennej Górze przez lata nie budziły większego zainteresowania. Aż do 1970 roku...

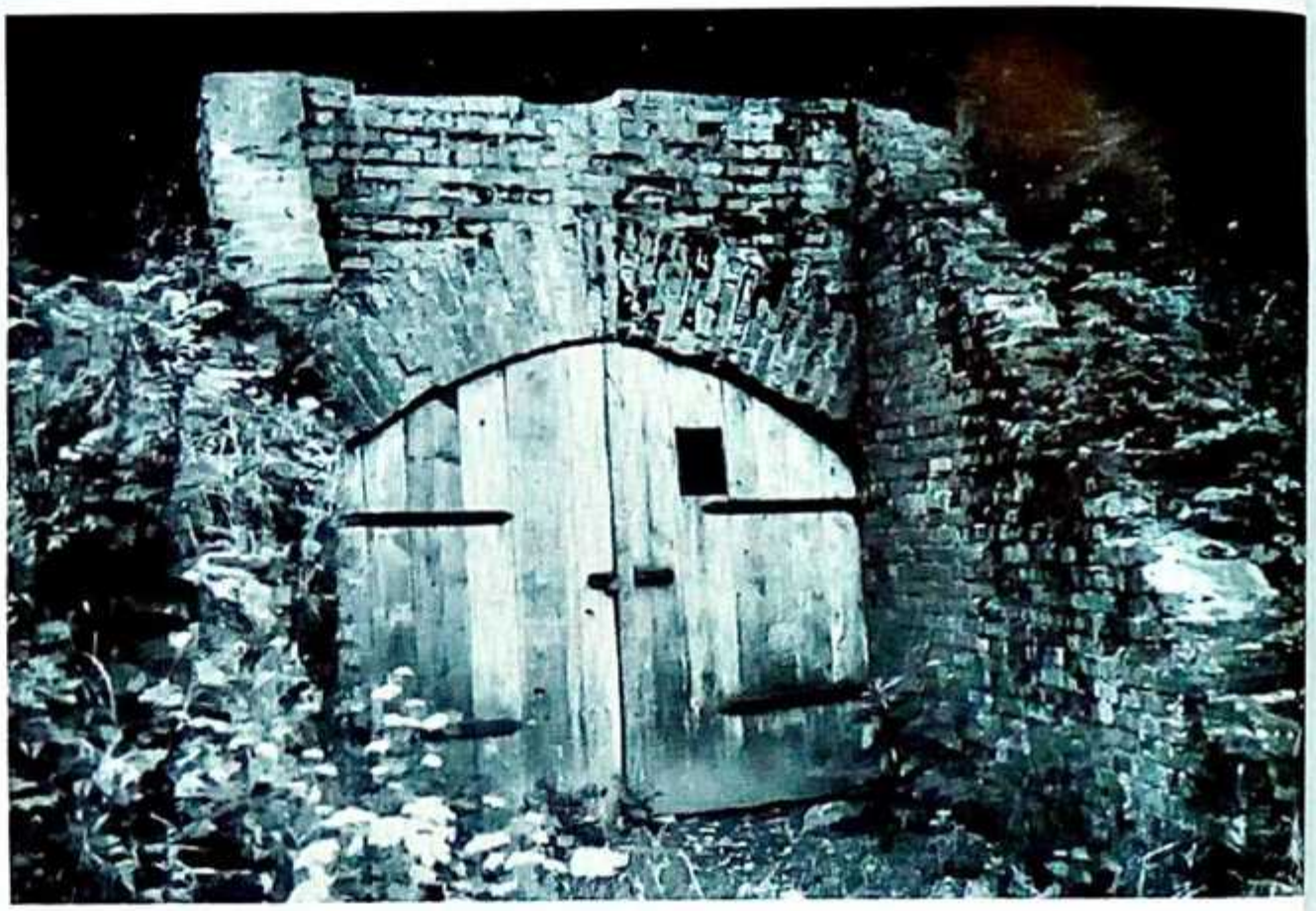

Podziemne jak i nadziemne tajemnice z czasów drugiej wojny światowej w rejonie Kamiennej Góry opisane zostały w „Odkrywcy" w numerach 10/2004, 11/2004, 12/2004, 3/2005, 7/2006 i 12/2010. Tym razem chciałbym poruszyć temat penetracji kamiennogórskich podziemi, dokonanej w 1972 roku przy udziale służb specjalnych PRL. Jak to się stało, że akurat wtedy zainteresowano się tymi wyrobiskami?

To, że w mieście istnieją wejścia do nieukończonych zespołów podziemi, było wiadomo. W śląskiej prasie znaleźć można było ich opis: „Dla mieszkańców Kamiennej Góry nie jest tajemnicą, że wzgórza otaczające miasto kryją w swoim wnętrzu jakieś tunele, przejścia podziemne nie wiadomo gdzie prowadzące, a nawet całą podziemną fabrykę. Niektóre wnętrza do tuneli wydrążonych przez Niemców w czasie ostatniej wojny są widoczne. Znajdują się na skraju miasta tuż przy ulicach", pisała w ostatnim dniu lutego 1960 roku gazeta „Słowo Polskie" w artykule zatytułowanym „Tajemnica podziemnego labiryntu". W tekście wspomniano też o osiedlu Antonówka, w którym, zdaniem autora artykułu, miała się mieścić podziemna fabryka amunicji za zamaskowanymi wejściami. Gazeta w zdroworozsądkowy sposób podchodziła do kwestii wykorzystania kamiennogórskich podziemi, postulując wykorzystanie ich do celów pokojowych. Były to jednak próżne słowa. Nikt z decydentów nie wziął ich sobie do serca.

Minęło dziesięć lat. Stan niekonserwowanych wyrobisk, poddanych działaniu czynników atmosferycznych, mógł się tylko pogorszyć. Wtedy to właśnie, w 1970 roku, podziemiami kamiennogórskimi zainteresowała się Służba Bezpieczeństwa. Meldunek specjalny wysłany z Wałbrzycha zwrócił uwagę przełożonych we Wrocławiu...

Kto był informatorem Służby Bezpieczeństwa na temat nieujawnionych rzekomo podziemi w Kamiennej Górze? Z dokumentów wynika, że źródłem informacji był inż. Alojzy Hrycyk, jeden z pracowników technicznych Dolnośląskiego Zjednoczenia Przemysłu Węglowego w Wałbrzychu. Plany wyrobisk podziemnych odnalazł on w archiwum tegoż Zjednoczenia, gdyż już od kilku lat amatorsko zajmował się „ustalaniem nieujawnionych obiektów poniemieckich w okolicach Wałbrzycha". Kopie planów zostały przekazane Służbie Bezpieczeństwa.

Jak widać, w czasach PRL jedno z wejść do podziemi, prawdopodobnie przy ul. Lubawskiej, wykorzystywane było przez mieszkańców do celów gospodarczych.

Warto przytoczyć obszerne fragmenty meldunku datowanego na ostatni dzień lipca 1970 roku, pod którym – jak wynika z odpisu – podpisał się kpt. Stanisław Wzorek:

„Zawiadamiam, że w czasie załatwiania spraw służbowych w Dolnośląskim Zjednoczeniu

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Więcej czasopism o historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

Przemysłu Węglowego w Wałbrzychu w dn. 30.07.1970 r. zostałem poinformowany przez por. rez. mgr inż. Hrycyk zastępcę naczelnego inżyniera w/w zjednoczenia o dokonaniu przez niego, w wyniku 4-letniej pracy, odkryć 3 obiektów przemysłowych, wybudowanych przez okupanta w rejonie Wałbrzycha, oraz o sztolniach, w których przechowywane są bogactwa wywiezione z Wrocławia i byłych hitlerowskich fabrykantów".

Już na samym początku sprawy pojawia się zatem wątek skarbowy. Nie brakuje też komunistycznej nowomowy, która długoletnich przejściowych panów Śląska nazywa „okupantem". Nieco dalej czytamy: „Obiekty te i ich lokalizacja jest celowo zachowywana w wielkiej tajemnicy, a po to, aby przy pracach górniczych nie kierować robót w te rejony, zatrudnieni są w zjednoczeniu i innych władzach odpowiedni ludzie stojący na b. wysokich stanowiskach". No proszę – mamy tu jakieś sprzysiężenie, torpedujące rozwój polskiego górnictwa w celu ochrony rzekomo tajnych podziemi. Piramidalna bzdura, zwłaszcza że w Kamiennej Górze nie działała wówczas żadna kopalnia węgla. O jakie to podziemia chodzi? „Jak ustalił ob. inż. Hrycyk, jeden z obiektów to fabryka amunicji lotniczej, drugi rzekomo szpital na 1300 miejsc i 360 personelu, ale podejrzewa że była to fabryka o specjalnym przeznaczeniu. W trzecim obiekcie w sztolni znajduje się uzbrojenie pułku zmechanizowanego, który bronił rejonu Wałbrzycha".

Dalej w tekście meldunku mowa jest o obawach inż. Hrycyka, któremu udało się wydobyć z archiwum plany tych trzech zespołów podziemi. Hrycyk bał się, że groziło mu niebezpieczeństwo, a zgromadzony rzekomo w podziemiach sprzęt mógł zostać w najbliższym czasie wywieziony. Wspominał też, że „wysoko postawione osobistości wyraźnie mu zabraniały interesować się tą sprawą, grożąc poważnymi, przykrymi konsekwencjami". Tego rodzaju sformułowania budowały napięcie, jednak nie to mogło stanowić argument za zajęciem się domniemanymi fabrykami podziemnymi przez władze. Argument padł na końcu: „Inż. Hrycyk twierdzi, że na terenie tych fabryk znajdują się urządzenia i maszyny, które przedstawiają wielką wartość dla gospodarki narodowej". Chwytliwe, ale to też nonsens. Jakąż to wartość mogły przedstawiać dla gospodarki PRL zardzewiałe, trzydziestoletnie maszyny, niekonserwowane, poddane działaniu wilgoci, a w dodatku pochodzące z poprzedniej epoki?

Tyle w informacji, którą miał sporządzić niejaki kpt. Stanisław Wzorek. A może raczej Siorek, który miał manię poszukiwania skarbów? Niewykluczone, że inny funkcjonariusz, przepisujący notatkę – znaną nam z odpisu – przekręcił nazwisko...

Sprawie nadano bieg. Do stolicy powiatu wałbrzyskiego wysłany został 15 sierpnia 1970 roku jeden z inspektorów Wydziału II Komendy Wojewódzkiej MO (czyli Służby Bezpieczeństwa), w celu rozeznania sprawy „istniejących rzekomo podziemnych obiektów poniemieckich, które dotychczas nie zostały ujawnione" – jak napisano w notatce służbowej. To oczywista nieprawda – obiekty podziemne z Kamiennej Góry zostały już znacznie wcześniej ujawnione i opisane, nie tylko przez dziennikarzy. We wrześniu 1948 roku odbyła się na ich temat konferencja w Kamiennej Górze z udziałem burmistrza, komendanta Milicji Obywatelskiej i przedstawiciela Przedsiębiorstwa Poszukiwań Terenowych z Wrocławia. Marian Białasik, inspektor PPT pisał w sprawozdaniu po tej konferencji, że jakaś część schronów >>>

Dołączony do dokumentacji szkic przedstawia zapewne któryś z zespołów podziemi kamiennogórskich.

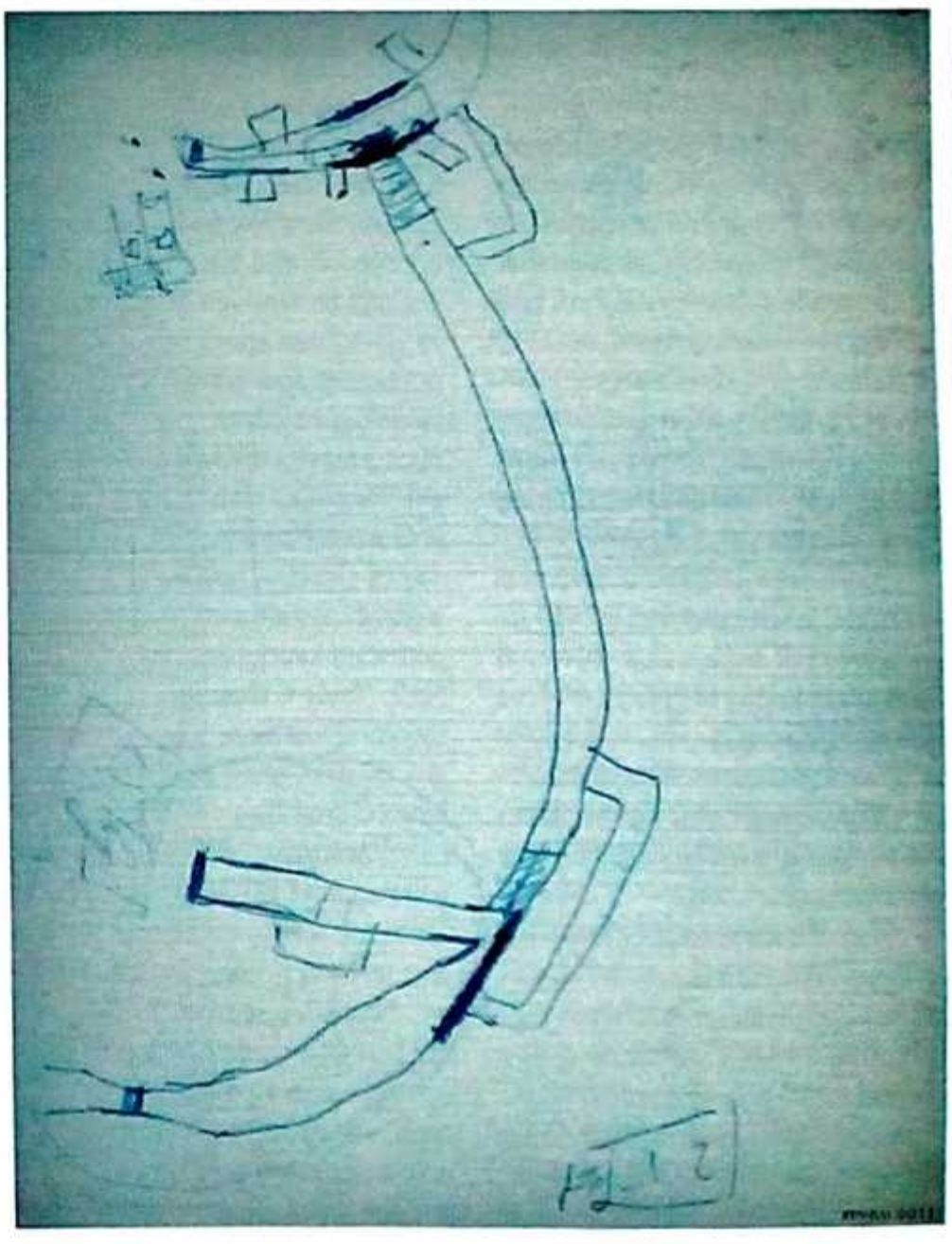

fot. Autor nieznany. Ze zbiorów Instytutu Pamięci Narodowej, oddziału we Wrocławiu

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Więcej czasopism o historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

>>> spenetrowana została nieco wcześniej przez wojsko, które nie znalazło tam min. Wygląda więc na to, że w 1970 roku wrocławska Służba Bezpieczeństwa nie miała pojęcia o podjętych niemal ćwierć wieku wcześniej penetracjach podziemi Kamiennej Góry. To nic dziwnego. Trudno wymagać od pracowników ówczesnej bezpieki, aby prowadzili kwerendę śląskiej prasy jak i zespołów archiwalnych wrocławskiego archiwum pod kątem wyszukiwania informacji na temat obiektów, w których wiele lat później miały zostać utworzone podziemne trasy turystyczne.

Ponieważ jednak w połowie sierpnia 1970 roku brak było jakichkolwiek informacji na temat tego, co mogłoby się znajdować we wskazanych podziemiach, nie było tym samym podstaw do podejmowania działań zmierzających do rozpoznania i penetracji tychże obiektów podziemnych.

W konkluzji notatki Starszy Inspektor Wydziału II kpt. W. Wojtyniak wskazywał, że należałoby plany podziemi przedstawić do oceny fachowcom z jednej z politechnik. Ich zadaniem miałoby być ustalenie charakteru i przeznaczenia obiektów podziemnych, umiejscowienia ich w terenie i uzyskania innych danych na ich temat. Dopiero później można by pomyśleć o zorganizowaniu środków w celu odkrycia i przeszukania wyrobisk.

Tyle zawarł kpt. Wojtyniak w swej notatce. Dwa dni później, a więc 17 sierpnia 1970 roku spotkał się on w lokalu kontaktowym o kryptonimie Kwadrat z tajnym współpracownikiem pseudonim Jerzy. Podczas spotkania TW Jerzy przekazał opis trzech planów wyrobisk górniczych, przetłumaczonych z języka niemieckiego na polski. Pierwszy plan dotyczył sztolni w Górach Kamiennych koło Boguszowa-Gorców, opisanej jako ujęcie wody. Pozostałe dwa plany dotyczyły podziemi kamiennogórskich: „Rys. Nr 2. Napis w tłumaczeniu »Schrony przeciwlotnicze typu sztolniowego« miejscowość Burgberg /Zamkowa Góra/. Na rys. widoczny jest cmentarz, strumyk zasilający młyn, nazwa ulicy: ul. Górna, oraz rzeka Zieder. Ponadto uwidoczniony jest plac tenisowy oraz ogródki działkowe. Na planie tajnym nie powinny być powyższe dane. Plan niniejszego schronu przewidziany był na 3639 osób, w tym 135 osób mogło korzystać z urządzeń szpitalnych". Dalej podane są wymiary podziemnego szpitala oraz inne informacje techniczne, np. takie, że do podziemi wiodło 12 wejść, a średnia wysokość wynosiła 460 m n.p.m.

Wejście do podziemi przy ul. Wiejskiej w Kamiennej Górze, znajdujące się tuż obok mostu kolejowego nad Bobrem.

Przytoczmy teraz początek opisu trzeciego planu podziemi: „Rys. Nr 3. Nazwa »Schron przeciwlotniczy typu sztolniowego« w Klein Zieder /Myły Zieder/". W tłumaczeniu na polski nastąpił niewątpliwie błąd literowy, powinno być Mały, a nie Myły. Czytajmy nieco dalej: „Ryz zawiera fragment schronów w nawiązaniu do położenia dworca kolejowego w m. Klein Zieder". Tu konieczne jest wyjaśnienie. Przystanek kolejowy Klein Zieder po wojnie nazywał się Czadrówek i czynny był w latach 1948–1954. Mieścił się w południowej części centrum Kamiennej Góry, w miejscu, gdzie linia kolejowa z Kamiennej Góry do Okrzeszyna przecinała ul. Lubawską. Tuż obok znajduje się Góra Parkowa (511 m n.p.m.), w zboczach której od strony ul. Lubawskiej wydrążone zostały przez Niemców podziemia. Od 2012 r. funkcjonuje tam podziemna trasa turystyczna. Czadrówka nie należy więc mylić z Czadrowem, miejscowością położoną kilka kilometrów od miasta.

Powtórzmy raz jeszcze: tuż obok podziemi w Górze Parkowej przebiegała linia kolejowa z Kamiennej Góry do Okrzeszyna. Aż dziw bierze, że żaden z poszukiwaczy sensacji nie wydumał sobie tutaj wiosną 1945 roku zatrzymującego się pociągu towarowego z transportem skrzyń ze złotem i esesmanów wynoszących te skrzynie do podziemi. Miejsce idealnie nadające się na tego typu legendę. Jak widać, nawet Służba Bezpieczeństwa o takiej ewentualności nie pomyślała…

Wrocławska bezpieka postanowiła o sprawie kamiennogórskich podziemi powiadomić centralę. Dlatego 7 września 1970 roku mjr J. Szymański skierował pismo do naczelnika Wydziału III Departamentu II Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Warszawie, informując o odnalezieniu w archiwum DZPW planów obiektów podziemnych m.in.

fot. Autor nieznany. Ze zbiorów Instytutu Pamięci Narodowej, oddziału we Wrocławiu

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Więcej czasopism o historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

w Kamiennej Górze: „Według sugestii inż. HRYCYKA w obiektach tych mogą być ukryte urządzenia produkcyjne poniemieckiej fabryki zbrojeniowej, broń oraz amunicja, a nawet dokumenty lub wartościowe przedmioty /złoto/. Inż. HRYCYK sugeruje, że zbadanie tych obiektów nie przedstawia większej trudności. Niezbędne są do tego specjaliści jak saperzy, chemik, elektryk i geolog – górnik, z odpowiednim sprzętem".

Nie trzeba specjalnie przekonywać, że wyliczony inwentarz dobrodziejstw czekających na odkrywców był niczym więcej, jak tylko listą pobożnych życzeń inż. Hrycyka. W każdym razie trzy plany obiektów podziemnych wraz z kopiami paru dokumentów powędrowały na Mazowsze do ministerstwa „w celu spowodowania oceny tych planów".

* * *

Minęło nieco czasu, zanim doszło do penetracji wyrobisk podziemnych. Najpóźniej latem 1971 roku pion operacyjny wrocławskiej Służby Bezpieczeństwa nawiązała kontakt z Romanem Polkowskim – starszym radcą w Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Co najmniej na tym etapie zaczęła być brana pod uwagę hipoteza, jakoby w trzech obiektach podziemnych w rejonie Wałbrzycha mogła być ukryta dokumentacja hitlerowska. Kolejnym krokiem miało być dokonanie rozpoznania tych podziemi przez wojsko w porozumieniu z SB.

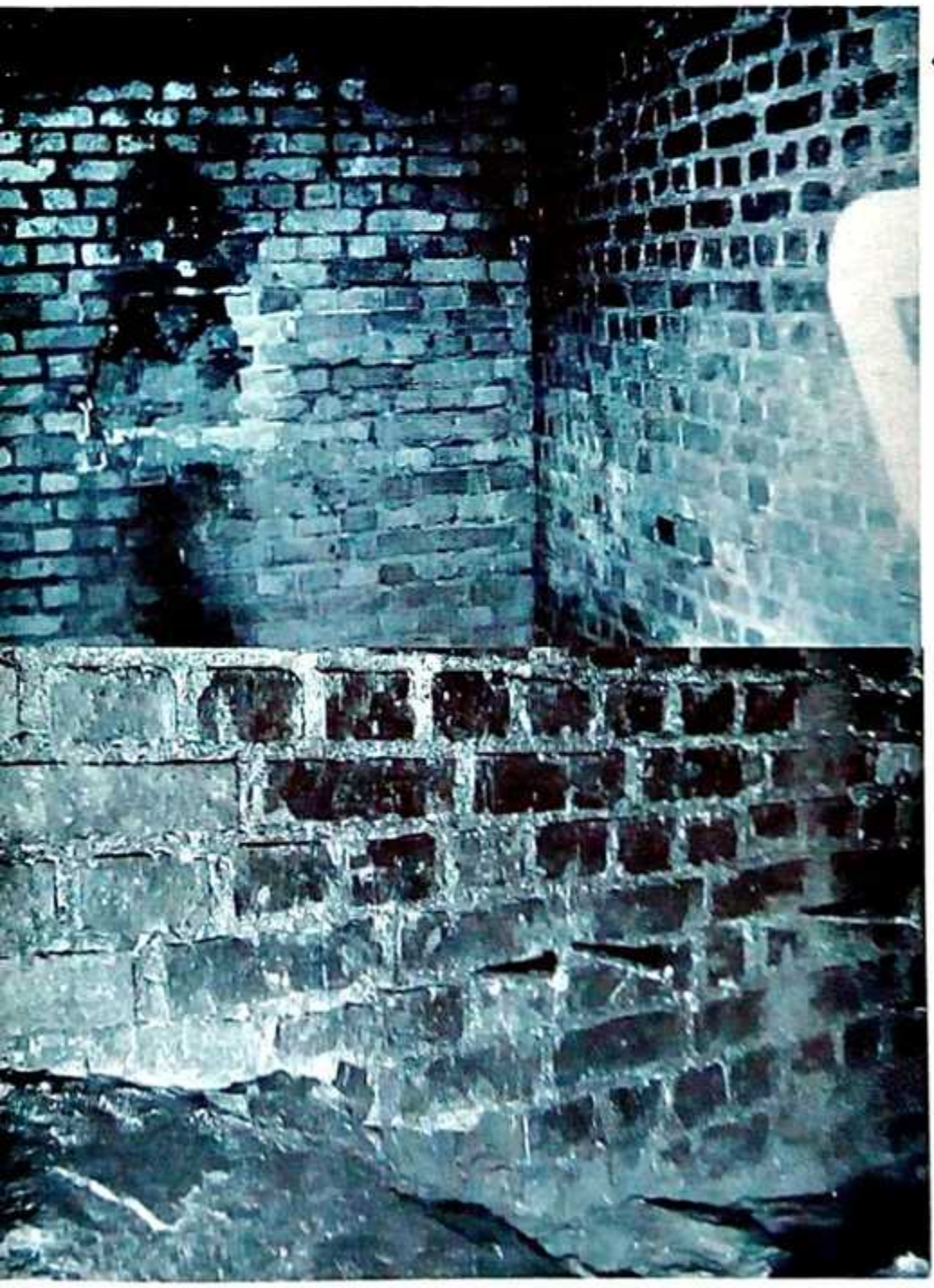

Ceglany murek w podziemiach przy ul. Wiejskiej w Kamiennej Górze. Po rozbiciu w nim dziury okazało się, że nie krył on wcale dojścia do dalszej partii podziemi.

* * *

Pod koniec czerwca 1972 roku zawarte zostały uzgodnienia w tej sprawie między Główną Komisją Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce a Ministerstwem Górnictwa i Energetyki. O tym, co robić w sprawie kamiennogórskich podziemi, dyskutowano 4 lipca 1972 roku we Wrocławiu w siedzibie Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich. W rozmowach brało udział 11 osób, w tym m.in. przedstawiciele Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich – Roman Polkowski, Komitetu Wojewódzkiego partii komunistycznej PZPR – Jan Bączek, Śląskiego Okręgu Wojskowego – płk. Jan Tomaszewski, Służby Bezpieczeństwa – mjr Stanisław Biernacki i ppor Mieczysław Leszczyński i Dolnośląskiego Zjednoczenia Przemysłu Węglowego – dyrektor Józef Cis. Uzgodniono, że wojsko oddeleguje około 10 żołnierzy ze sprzętem saperskim, którzy sprawdzą, czy podziemia są zaminowane, strona kopalniana dokona otwarcia wejść do sztolni i ich penetracji, a Milicja Obywatelska zabezpieczy teren, wystawiając posterunki. Zadaniem strony milicyjnej miało być też zabezpieczenie operacyjne mieszkających w pobliżu osób narodowości niemieckiej. Podstawą ku temu miała być niesprawdzona pogłoska, jakoby rzekomo polscy Niemcy mieli chronić te obiekty podziemne! Koordynacją całości prac miała się zająć Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce.

Jak zapisano w Meldunku specjalnym nr 54/72, na 18 lipca 1972 rok wyznaczono „robocze posiedzenie zespołu organizacyjnego w sprawie przeszukania starych sztolni, w których mają znajdować się poniemieckie materiały archiwalne, różne urządzenia przemysłowe oraz metale szlachetne ukryte pod koniec II wojny światowej przez były hitlerowski aparat ucisku". Tu zwrócić można uwagę na to, że te sztolnie nie były wcale takie stare, bo liczyły sobie ponad dwadzieścia lat. >>>

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Więcej czasopism o historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

* * *

Tak jak ustalono, w akcji prowadzonej pod nadzorem Służby Bezpieczeństwa i Milicji Obywatelskiej wzięli udział górnicy z Dolnośląskiego Zjednoczenia Przemysłu Węglowego oraz saperzy z jednostki wojskowej w Brzegu. Spenetrowano trzy zespoły podziemi, w tym te przy ul. Wiejskiej i pod Górą Parkową w Kamiennej Górze. Stało się to 25, 26 i 27 lipca 1972 roku. Poszukiwania nie dały oczekiwanych rezultatów.

W obiekcie podziemnym przy ul. Wiejskiej użyto ładunków wybuchowych, by rozbić ceglaną ściankę. Nie znaleziono za nią przejścia do dalszej części wyrobisk, uwidocznionych na projekcie. Przekonano się więc, że budowa tego zespołu podziemi nie została ukończona zgodnie z planem. Mało tego, uczestnicy penetracji przekonali się, że w Kamiennej Górze mieszkali jeszcze dawni pracownicy przymusowi niemieckiego obozu koncentracyjnego z Rogoźnicy, którzy wiedzieli, że sztolnie nie zostały ukończone.

Penetracje kamiennogórskich podziemi zostały podsumowane 7 września 1972 roku na spotkaniu w Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich we Wrocławiu. W notatce służbowej po tym spotkaniu, powstałej nazajutrz, mjr Stanisław Siorek zapisał m.in., że wejścia do sztolni mniej więcej pokrywają się z tymi uwidocznionymi na planach podziemi. Uznano, że zinwentaryzowane wyrobiska z uwagi na ich gabaryty i trwałość skał nadawały się do zagospodarowania. Ubolewano, że nie przeprowadzono wcześniej szerokiego rozpoznania, w skutek czego niepotrzebnie zaangażowano niewspółmiernie duże siły na działania... bezcelowe, jak to miało miejsce w przypadku rozbicia ceglanej ścianki w podziemiach przy ul. Wiejskiej. Postanowiono zaniechać dalszych poszukiwań.

A co z wykorzystaniem podziemi? W notatce Siorka pojawił się najbardziej oczywisty wniosek, czyli konieczność utworzenia podziemnej trasy turystycznej w podziemiach kamiennogórskich – nazwanej „muzeum martyrologii i męczeństwa". Niestety brano to pod uwagę tylko jako jedną z ewentualności zagospodarowania wyrobisk.

* * *

O kamiennogórskich podziemiach w kolejnych latach mogli przeczytać czytelnicy różnych gazet i czasopism. Wrocławski dziennikarz Wacław Dominik pisał o nich m.in. w 1977 i 1988 roku, podając swoje hipotezy co do domniemanego przeznaczenia. Był też dwugłos Jana Lubienieckiego i Jerzego Sarneckiego w miesięczniku „Karkonosze" w 1988 i 1989 roku.

Z fiaskiem penetracji przeprowadzonych w 1972 roku nie mógł się chyba pogodzić mjr Stanisław Siorek, który niejednokrotnie później wracał do tego wątku w swoich artykułach prasowych, zamieszczanych na łamach prasy krajowej i regionalnej. W 1983 roku w tygodniku „Sprawy i Ludzie" pisał o tym, że jeden z planów podziemi po wstępnym przebadaniu został przekazany do Powiatowej Rady Narodowej w Kamiennej Górze. „Jest to niewątpliwie projekt fabryki zbrojeniowej, obliczony na 3639 osób" – pisał Siorek, podając liczbę 12 wejść i 144 pomieszczeń podziemnych. Mowa tu o podziemiach pod Górą Zamkową, zwaną też Górą Cmentarną w Kamiennej Górze.

Kulisy akcji z lata 1972 roku czytelnicy mogli poznać na początku 1991 roku, gdzie na łamach tygodnika konsumentów „Veto" zacytowany został Stanisław Siorek. Przedstawiony został nie jako esbek, lecz jako sekretarz zarządu Polskiego Towarzystwa Eksploracyjnego we Wrocławiu: „W lipcu 1972 roku uczestniczyłem w akcji penetracyjnej trzech sztolni w Kamiennej Górze" – relacjonował dziennikarzowi „Veta" Stanisław Siorek. – „Były to sztolnie: Brodno, Mały Czadrów, Góra Zamkowa. Mieliśmy niemieckie plany, wedle których miała się tam znajdować ogromna podziemna budowla. Wstępne rozpoznanie potwierdziło istnienie obiektu. Na szczeblu wiceministrów kilku resortów zapadły uzgodnienia, że w akcji wezmą udział saperzy Śląskiego Okręgu Wojskowego i górnicy ze szkolnej drużyny ratowniczej z Zagłębia Wałbrzyskiego. Ostatecznie skończyło się na dwóch górnikach i trzech żołnierzach. Takimi siłami nie mogliśmy przebijać się przez zawały i po dwóch dniach zawiesiliśmy akcję. Jak się okazało, na zawsze. Prywatnie dowiedziałem się o odgórnym ustnym poleceniem, by zbyt intensywnie nie rozwijać poszukiwań. Po latach poinformowano mnie, że autorem sugestii była gruba ryba z pewnego resortu. Ów dygnitarz osiadł później w RFN".

Przyczyny niepowodzenia łatwo odczytać z przywołanych wcześniej dokumentów. Podziemia kamiennogórskie były przecież tamtejszym Polakom znane od czasu wojny. Czymś niewiarygodnym byłoby, gdyby nikt po wojnie ich nie spenetrował. Wiadomo, że zapuszczali się tam różni śmiałkowie. Z pewnością ktoś coś wyniósł. Skrajną naiwnością było liczyć w 1970 roku na znalezienie tam skrzyń z dokumentami czy sejfów ze złotem. Przed akcją nie wypytano miejscowych, wśród których byli dawni polscy pracownicy obozu koncentracyjnego. Wiedzieli oni, że plany sztolni nie zostały przez Niemców do końca zrealizowane, bo zabrakło na to czasu. A same podziemia? Musiały czekać dalsze czterdzieści lat, aż wreszcie uruchomiono w jednych z nich trasę podziemną. I to tylko w tych, które w okresie PRL nazywano Małym Czadrowem, od niefortunnego tłumaczenia niemieckiej nazwy położonej tuż obok stacji kolejowej na nieczynnej linii do Okrzeszyna. <

Tomasz Rzeczycki
Niegdyś poeta i satyryk, członek kabaretu radiowego Zespół Adwokacki Dyskrecja, a potem współpracownik Kabaretu Długi. Kronikarz dziejów komunikacji pasażerskiej w okolicy Tarnowskich Gór, autor książki „Góry Polski" i badacz powojennej historii schronisk turystycznych w Sudetach.

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Więcej czasopism o historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

Przedstawienie diabła na kominku neogotyckim w Sali Rycerskiej. Razem z postacią anioła (z prawego rogu kominka – patrz ostatnia strona artykułu) tworzą całość łączącą się w dobro i zło.

SYMBOLE MASOŃSKIE W ZAMKU CZOCHA

PIOTR KUCZNIR

Jedno z haseł wolnomularskich brzmi: „Ukryte na widoku". Zostało ono również zrealizowane w dolnośląskiej „twierdzy szyfrów".

W latach 1906–1916 Bodo Justus Henrich Ebhardt wykonał dużą przebudowę zamku Czocha dla bogatego przemysłowca Ernsta Fridricha Guetschowa. Podczas jej przebiegu zajmował się on nie tylko bryłą obiektu, ale także tym, co dziś wzbudza największe zainteresowanie przybywających tu turystów: tajnymi przejściami i zamkowymi podziemiami. Jednak to nie wszystko! Dodaje on do wystroju zamku coś, co chyba jeszcze bardziej rozpala wyobraźnię ludzi ekscytującymi się organizacjami ezoterycznymi. A tych na początku XX wieku powstało bardzo dużo w Europie...

Ludzie Czochy

W momencie, kiedy Ernest Guetschow kupił Czochę od Bolka von Uechtritz na początku XX wieku, zamek swe najlepsze lata miał już za sobą. I chociaż obiekt nie był w ruinie, jakby to chcieli niektórzy piszący o nim, to jednak wymagał dużego zastrzyku pieniędzy. Niestety, Otto von Uechtritz, ojciec Bolka, nie za bardzo dbał o zamek. Wolał pomagać mieszkańcom wsi Stankowice, zaniedbując przy tym rodową posiadłość. Na szczęście znalazł się ktoś, kto chciał zamek kupić. Ernest Guetschow – przemysłowiec z Drezna, dyrektor generalny fabryki Jasmatzi Werke, wyrabiającej wyroby tytoniowe. Zapragnął mieć swoją siedzibę rodową mieszczącą się w zamku.

Bodo Ebhardt, zatrudniony przez Guetschowa architekt o wyrobionej już marce, zamienił zamek w siedzibę w romantyczno-gotycko-renesansowym stylu, jak piszą niektórzy. Czocha stała się bardziej średniowieczna od zamków średniowiecznych. W obiekcie umieścił bardzo wiele tajnych przejść i podziemi, których w zamku, a raczej pod nim, jest przeszło 5 tys. m². Wyposażył go również w zapadnie w podłogach do szybkiego i skrytego przemieszczania. Po co tyle tych tajemnic było potrzebnych przemysłowcowi z Drezna? Odpowiedź długo była nieznana... Około roku 2011/2012 moją uwagę zwróciło mnóstwo dziwnych symboli, które praktycznie pokrywają cały zamek. Były one wykonane w kamieniu, na obrazach-malowidłach w Sali Marmurowej, na witrażach i w snycerce. Były i są ukryte także na ścianach. Niektóre uwidaczniają się dopiero po odpowiednim oświetleniu.

Zamek Czocha.

fot. P. Kucznir, Wikipedia

Symbole

W Czosze obcowanie z symboliką rozpoczyna się już przy bramie. A potem jest następna brama, na której uważny obserwator zobaczy na prawym skrzydle, na wysokości wzroku, kolejny symbol ezoteryczny. Pokonując kolejne metry, ponownie zauważy, że na przyczółku mostu arkadowego stoją dwie kolumny >>>

Biblioteka. Na witrażu widzimy dwie kolumny i postacie Indian oraz napis nawiązujący do Starego i Nowego Testamentu. Dwie kolumny symbolizują także bramę do wieczności, a korona – nieśmiertelność, bóstwo, władzę, ale także fałszywą wiedzę.

Biblioteka. Ukryta głowa kozła, dwie kolumny i symbolika chrześcijańska. Wszystko współistnieje obok siebie.

Biblioteka, witraż wskazuje na symbolikę chrześcijańską, do której często odwoływali się masoni różnych rytów.

>>> (symbol masoński). Wejście prowadzące z folwarku do zamku przyozdobione jest także dwiema, ale tym razem sterczynami, osadzonymi na trzech kulach.

Wchodząc do samego zamku, zobaczymy, że zadbano o to, aby w każdym miejscu symbol wzmacniany był drugim symbolem. Ich czytelność dla niewtajemniczonych była i jest znikoma. Jak w swej książce pod tytułem „Sekrety masonów. Pierwszy stopień wtajemniczenia", o tajemnicach masońskich napisał Tadeusz Cegielski: sekrety masońskie ukryte były w wieloznacznych i trudnych do odczytania symbolach i alegoriach, a za ich pośrednictwem w mitach i legendach. Ponadto, na kartach książki autor stwierdził, że „Dogmatyka masońska, bez względu na konkretną filozoficzną opcję, posiadała charakter ezoteryczny".

Uważny gość odwiedzający obiekt, czy też wtajemniczony w symbolikę, w holu widzi witraż z Marcinem Lutrem, a w górnym rogu tego witraża cyrkiel i węgielnicę. Zapewne nieprzypadkowo tam umieszczoną. Dalsze zwiedzanie zamkowych sal, to kolejne znaki i symbole. Sala Rycerska, poza swym pięknem, zawiera kilka ważnych symboli. Dwa z nich umieszczone są na kominku neogotyckim. W jego rogach umieszczono postaci diabła i anioła. W Sali Marmurowej mamy kolejne dwa znaki na rogach portali wejściowych. Są to głowy kozłów. Pozostałe symbole znajdują się na portalu prowadzącym na klatkę schodową dla służby.

Sama zaś Sala Marmurowa to wręcz eksplozja masońskiej symboliki, czy jak woleliby inni, ezoterycznej. Jak nie głowa kozła, to obraz lwa. Kłosy zboża, róg obfitości, muszla Świętego Jakuba, postać orła, uskrzydlone ryby, smok. Jednak chyba najciekawsze przedstawienie symboli, tym razem chrześcijańskich, w tej sali znajduje się na malowidle nad kominkiem neorenesansowym. Otóż na tym wspaniałym obrazie widoczna jest scena pokazująca, jak Święty Jerzy zabija smoka. Jerzy to oczywiście Archanioł Michał, a smok w kulturze chrześcijańskiej symbolizuje diabła – szatana. Diabeł zostaje zabity, a w zasadzie zrzucony z nieba przez Archanioła Michała. „Zrzucony więc został wielki smok, pradawny wąż, zwany Diabłem i Szatanem, który wprowadza w błąd całą zamieszkaną ziemię; zrzucony został na ziemię, a z nim zostali zrzuceni jego aniołowie. I usłyszałem donośny głos w niebie, mówiący: »Teraz nastało wybawienie i moc, i królestwo naszego Boga, i władza jego Chrystusa, ponieważ zrzucony został oskarżyciel braci naszych, który dniem i nocą oskarża ich przed naszym Bogiem! A oni go zwyciężyli dzięki krwi Baranka i dzięki słowu swego świadczenia i nie miłowali swych dusz nawet w obliczu śmierci. Dlatego weselcie się niebiosa i wy, którzy w nich przebywacie! Biada ziemi i morzu, ponieważ zstąpił do was Diabeł, pałając wielkim gniewem, bo wie, że mało ma czasu«" (Objawienia 12: 9–12). Czyżby malowidło z Sali Marmurowej miało ostrzec każdego, kto na nie spogląda, co stanie się na ziemi?

W kolejnej z komnat, która za czasów ostatniego właściciela była jego podręczną biblioteką, dopiero zaczyna się uczta dla poszukiwaczy symboli ezoterycznych. Znajduje się w niej oltarz, a na nim dwie kolumny, północna i południowa, o specjalnym splocie określanym jak męski i żeński. Za kolumnami znajdują się witraże wykonane przez Eduarda Strita. W nich również napotykamy symbolikę dwóch kolumn i głowę kozła, sprytnie schowaną między wieloma motywami umieszonymi na tych witrażach. Znawca tematu mógłby w tej komnacie kręcić nosem, twierdząc, że nie ma tutaj kolejnego elementu trwale związanego z masonerią. Otóż wchodząc do biblioteki tak, jak to się robi najczęściej, czyli przez tajne przejście umieszczone w gablocie >>>

fot. P. Kucznir

W Sali Marmurowej uskrzydlona kobieta.

Głowa kozła – symbol ofiary, płodności, błyskawicy oraz pioruna. Jest także symbolem czarów.

Symbol z Sali Marmurowej w zbliżeniu. Orzeł, w chrześcijaństwie symbol Chrystusa.

Komnata książęca. Ptak symbolizuje słońce, wiatr, chmury, nieśmiertelność, proroctwa, zdradę i piekło…

Symbol lwa na gablocie w Sali Marmurowej. W Biblii jest on raz symbolem dobra, raz zła „… jak lew ryczący krąży, szukając kogo pożreć" (1 List Piotra 5: 8).

>>> z książkami, nie widać jednego z ważnych elementów rytuałów masońskich – trzech stopni. Jednak otwierając drzwi do biblioteki prowadzące z Sali Rycerskiej, widzimy je. Wchodząc, czy raczej wychodząc z biblioteki, widzimy coś jeszcze bardziej dziwnego! Otóż na drzwiach prowadzących do wyjść, jedne do Sali Rycerskiej, a drugie do zamurowanej klatki schodowej, widoczne są antaby-kolatki. Co o nich mówi przywołana już wcześniej książka pt. „Sekrety masonów. Pierwszy stopień wtajemniczenia"? „(...) Kandydat [do pozostania masonem – przyp. autora] puka do drzwi, uderzenia są nieregularne, przypadkowe – jak wszystko, co wiążę się z życiem profana. Na pytanie brata starszego odpowiada, że pragnie zostać wolnomularzem, ponieważ jest »człowiekiem wolnym i dobrej opinii«. Wówczas drzwi szybko się otwierają, a znajdujący się w świątyni bracia podnoszą »uroczysty zgiełk« za pomocą szpad".

Trzy schody przy wejściu na wschód świątyni stanowią granicę dzielącą nas od znalezienia się w tym najważniejszym, najbardziej oświetlonym, można byłoby nawet określić jako najświętszym, miejscu świątyni masońskiej. Przejście ze świata profanów do Wolnomularstwa nie może odbyć się na tej samej płaszczyźnie. Obecność trzech stopni symbolicznych jest absolutnie konieczna, niezastąpiona, gdyż to właśnie one oznaczają inicjowanego, tzn. Ucznia. Trzy stopnie Wolnomularstwa tworzą podstawowe szczeble (schody) odpowiadające hierarchii Lóż niebieskich: Uczeń, Czeladnik i Mistrz. Istnienie tych stopni odnajdujemy wśród innych symboli kobierca loży. Ich zadaniem jest przypominać o tym, że uczenie się jest pierwszym z trzech etapów do pokonania w szkole masońskiej. Warto wspomnieć, że na najstarszych kobiercach loży istniało aż siedem schodów – i to w pierwszym stopniu wtajemniczenia, jednakże, według katechizmu masońskiego, uczeń mógł wspiąć się tylko na trzy pierwsze. Wiemy, że liczba Trzy jest liczbą przypisaną uczniowi: jego wiek, kroki, braterska bateria składają się z trzech elementów.

Kiedy Wolnomularz staje się Mistrzem, może wspiąć się na trzeci stopień. Jednakże w momencie, kiedy nie zrozumiał znaczenia swojej misji, będzie umiał zejść trzy stopnie w dół, aby oświecić się i przekazać otrzymane światło (wiedzę) innym Siostrom i Braciom.

Biblioteka kryje przynajmniej jeszcze jedną ciekawą zagadkę, która niedawno została odkryta. Otóż na gablotach książkowych został wyrzeźbiony znak – litera hebrajska alef. Wyrzeźbiony został także w odbiciu lustrzanym. Dlaczego? Sama litera ma bardzo ważne znaczenie. Na stronie http://alfabet.izraelczyk.pl/3.php możemy przeczytać: „(Alef) to litera, od której Bóg rozpoczął nauczanie swoich przykazań. Pierwszy werset Dekalogu brzmi bowiem: (Anochi JHWH Eloheha aszer hocetticha me-erec Micrajim mi-bet awadim) – „Jam jest JHWH, Bóg twój, którym cię wywiódł z ziemi egipskiej, z domu niewoli". Mało? Czytajmy dalej: „ (Alef), które wskazuje na tajemnice istnienia, jest również fundamentem alfabetu hebrajskiego; reszta liter hebrajskich tkwi w nim i z niego się wywodzi". Dalej jest również ciekawie: „Alef jest pierwszą literą alfabetu hebrajskiego. O niej – jak głosi legenda – Bóg powiedział, że On jest jeden i Alef oznacza jeden. Nic dziwnego, że Alef szczególnie rozbudzało i zaprzątało poetycką wyobraźnię mędrców dawnego Izraela".

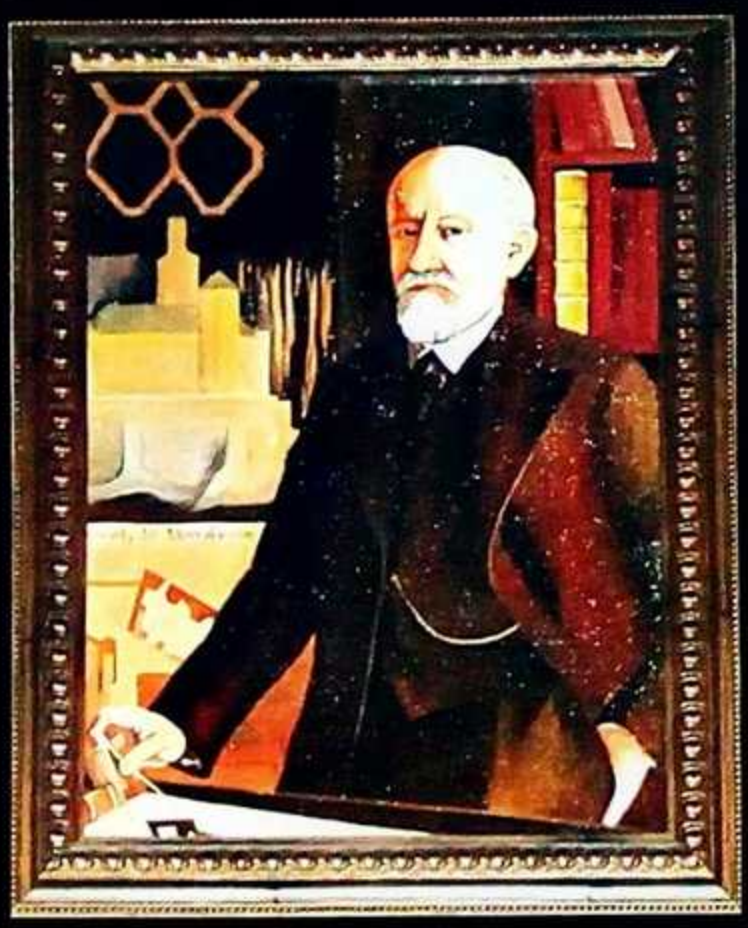

Portret Bodo Justusa Henricha Ebhardta wiszący w Sali Rycerskiej. Oryginał znajduje się w Marksburgu. Architekt trzyma w ręce cyrkiel...

Czy w związku z tym przez przypadek została ona umieszczona w bibliotece? Czy ktoś umieszczający ją chciał ją użyć tylko jako ozdobę? Nie sądzę!

Przed samym wyjściem z biblioteki należy jeszcze wznieść głowę w górę i popatrzeć na witraże. W nich widać ponownie dwie kolumny, głowę kozła, postać papieża, ale także witraż odnoszący się do miasta Tiatyra leżącego w zachodniej części Azji Mniejszej. Na jej miejscu dziś leży miasto Akhisar. W Tiatyrze mieszkała prorokini Jezebel. Nauczała i wprowadzała ona w błąd członków zboru chrześcijańskiego, aby dopuszczali się rozpusty i jedli rzeczy ofiarowane bożkom (Objawienia 2:20–22): „Niemniej to mam przeciw tobie, że tolerujesz niewiastę Jezebel, tę, która nazywa siebie prorokinią oraz naucza i wprowadza w błąd moich niewolników, aby dopuszczali się rozpusty i jedli rzeczy ofiarowane bożkom. I dałem jej czas na skruchę, ale nie chce okazać skruchy za swą rozpustę. Oto wkrótce rzucę ją na łoże boleści, a tych, którzy z nią cudzołożą — w wielki ucisk, jeśli nie okażą skruchy za jej uczynki". Raczej trudno w tym miejscu myśleć o przypadkowym połączeniu tak specyficznych symboli zła...

Wychodząc z biblioteki, można chodzić po całym zamku, dostrzegając tu i tam różne symbole ezoteryczne. Praktycznie są one wszędzie, w każdej części obiektu. Kto zajdzie się w czasie swojej wędrówki w komnacie książęcej, niegdyś sypialni Ernsta i Józefiny, również odkryje wielkie nagromadzenie symboli: sowa,

fot. P. Kuczniir

kogut (występuje on również w innych miejscach), pelikan, myszy, liście akantu, male dzieci... No i na witrażach.
Jednak to, co może zobaczyć wprawione oko w pomieszczeniu, które dziś nazywa się kawiarnią, stawia kropkę nad i. Dla każdego. Otóż przed wejściem do kawiarni powyżej portalu wejściowego znajduje się... cyrkiel i węgielnica.
Czy trzeba dodać coś więcej? Zapewne wielu powie: bylem na zamku i nic nie widzialem. Zapewne tak moglo być. A nawet wręcz uważam, że tak bylo. Dlaczego? Bo działa do dziś jedno z ważniejszych hasel masońskich „Ukryte na widoku".

Podsumowanie

Twierdza na szczycie góry granitowo-gnejsowej jeszcze nie raz zadziwi mnogością swych tajemnic skrywanych na widoku.
W calym tym artykule chcialem wszystkim czytającym odsłonić kolejne tajemnice zamku Czocha. Tajemnice, które lata czekały na swych odkrywców. Czocha jest nie tylko miejscem, w którym kręcono film „Gdzie jest general" i serial „Tajemnica Twierdzy Szyfrów". Ale jest czymś więcej. Jest zamkiem z naprawdę ciekawymi tajemnicami, a nie „rozrywkowymi". Jest zamkiem ezoterycznym, w którym masoneria realizowała swój pogląd na świat. Jaki? To już temat na inny artykul.
Dziękuję za pomoc w napisaniu artykulu Pawlowi Olkowi. <

Piotr Kucznir

Wiceprezes Łużyckiego Towarzystwa Historycznego Zamku Czocha, regionalista, rekonstruktor epok historycznych, miłośnik historii regionu Górnych Łużyc i Dolnego Śląska. Autor m.in. książki o zamku Czocha pt. „Tajny Zamek Czocha". Doświadczenie zdobyte w wojsku wykorzystuje w tropieniu zagadek czasów minionych. Marzy mu się odkrycie zagadek „Ukrytych na widoku".

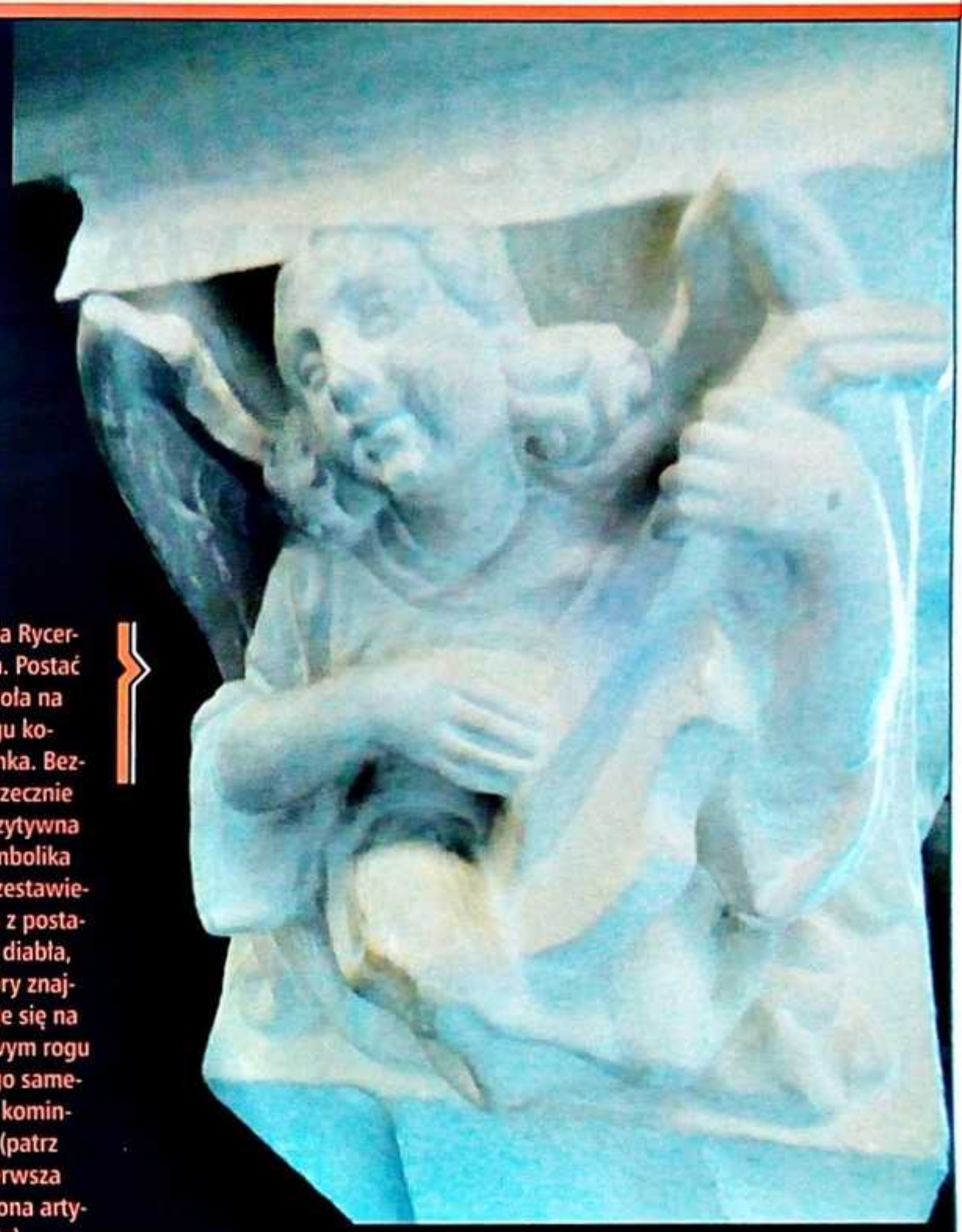

Sala Rycerska. Postać anioła na rogu kominka. Bezsprzecznie pozytywna symbolika w zestawieniu z postacią diabła, który znajduje się na lewym rogu tego samego kominka (patrz pierwsza strona artykułu).

BIBLIOGRAFIA

LITERATURA
Tadeusz Kiersztyn, „Zatrute źródło masonerii", Kraków 2010
Tadeusz Cegielski, „Sekrety Masonów. Pierwszy stopień wtajemniczenia", Warszawa 1992
Władysław Kopaliński, „Słownik symboli", Warszawa 2012
Manfred Lurker, „Słownik obrazów i symboli biblijnych", Poznań 1989

INTERNET:
http://alfabet.izraelczyk.pl/3.php
https://robertbrzoza.pl/masoni/rzad-nwo-masoni/
http://www.mariowka.sluzki.opoka.org.pl/refl8.htm
http://www.iluminaci.pl/masoneria/przyjecie-do-lozy-masonskiej

Zamek Czocha. Dzieje, tajemnice, legendy. Marek Dudziak
Autor przedstawia historię Czochy, opisuje jej wygląd wczoraj i dziś. Przybliża postaci najbardziej intrygujących właścicieli. Jest przewodnikiem po dostępnych dla turystów komnatach i pomieszczeniach. Pisze o legendach, skarbach, czasach II wojny światowej. Stawia fascynujące pytania, które wciąż pozostają bez odpowiedzi.

Zamów na
www.odk.pl
tel. 42 631 10 97
42 630 71 41
Księgarnia Odkrywcy

POLOWANIE CZĘŚĆ 2
NA WILHELMA KOPPEGO

LESZEK ADAMCZEWSKI

1 lutego 1944 roku sprzyjało zamachowcom szczęście. Zabili kata Warszawy. Prawie pół roku później szczęście ich opuściło. W Krakowie zadania nie wykonali, ponieśli duże straty.

W tym samym czasie, gdy trwały przygotowania do zamachu na mającego jechać pociągiem do Lwowa Hansa Franka, krakowski Kedyw zainteresował się urzędującym od mniej więcej połowy listopada 1943 roku nowym wyższym dowódcą SS i policji do spraw obszarów wschodnich. Wprawdzie dowództwo AK nie znało skutków kwietniowego zamachu na jego poprzednika Friedricha Krügera, ale podejrzewano, że musiał on odnieść jakieś obrażenia, bo Niemcy – by nie dać Polakom satysfakcji – ukryli dane o stanie jego zdrowia po wybuchu granatu w bezpośrednim sąsiedztwie mercedesa obergruppenführera SS. Zamach na Wilhelma Koppego miał się natomiast nie tylko udać, ale powinien zostać tak przeprowadzony, by możliwie dużo osób mogło zobaczyć śmierć lub tylko zwłoki nowego kata GG. Taka była ogólna decyzja władz Polski Podziemnej, zaakceptowana przez pułkownika „Lutego". Z początkiem roku 1944 przystąpiono do systematycznego rozpracowywania zwyczajów Koppego: rozkładu zajęć, środków lokomocji, tras przejazdu.

Obergruppenführer SS i generał Waffen SS Wilhelm Koppe, od listopada 1943 roku wyższy dowódca SS i policji do spraw obszarów wschodnich.

Miał zginąć przy otwartej kurtynie

Być może wyższy dowódca SS i policji do spraw obszarów wschodnich zginąłby jeszcze przed wyjazdem nocnym pociągiem urlopowym do Lwowa, gdyby „Luty" zgodził się na prosty i – jak się wydaje – skuteczny sposób zabicia Koppego. Porucznik „Powolny" (Ryszard Nuszkiewicz) postanowił zastrzelić Koppego z karabinu snajperskiego w chwili, gdy obergruppenführer na dziedzińcu zamku wawelskiego będzie wsiadał do swego mercedesa, którym codziennie udawał się do siedziby rządu GG. Strzał miał być oddany przez okienko wieżyczki kamienicy na narożniku ulic Bernardyńskiej i Smoczej. Ze znajdującej się na wysokości piątego piętra wieżyczki rozpościerał się widok na odległy o około 250 metrów dziedziniec zamkowy. Wywiad ustalił, że >>>

SNAJPERSKI STRZAŁ Z KAMIENICY

Z JAKIEGO RODZAJU BRONI AKOWCY MOGLI PRÓBOWAĆ ZABIĆ KOPPEGO?

Wykorzystanie strzelca wyborowego czy też taktyki snajperskiej w skrytobójczym zamachu na hitlerowskiego dygnitarza wydaje się w warunkach partyzantki miejskiej idealnym rozwiązaniem. Jednak nie są znane, tudzież nie zachowały się relacje, by metodę tę kiedykolwiek polski ruch oporu wykorzystał w praktyce. Pewnym wyjątkiem od tej reguły są opisy w literaturze incydentalnych działań tego typu podczas powstania warszawskiego. Oddanie celnego strzału przez wyszkolonego strzelca na odległość ok. 250 m nie powinno stanowić większego problemu – nawet bez zastosowania przyrządów optycznych. Problemem jest jednak oczywiście poziom owego „wyszkolenia", jaki nawet przypadku „cichociemnego" zapewne nie miał charakteru specjalistycznego.
Warto wspomnieć, że na wyposażeniu wojska polskiego w okresie międzywojennym znajdowały się karabiny wyborowe, organizowane były kursy strzeleckie, a zadania strzelca wyborowego były ujęte w regulaminie piechoty. Nie było to jednak ani popularne zajęcie, ani też posiadające bogate tradycje.
Prezentujemy zdjęcie kamienicę, z wieżyczki której rozważano strzał oraz szkic sytuacyjny. Do tej akcji jednak nie doszło, wybrano inny wariant zamachu.

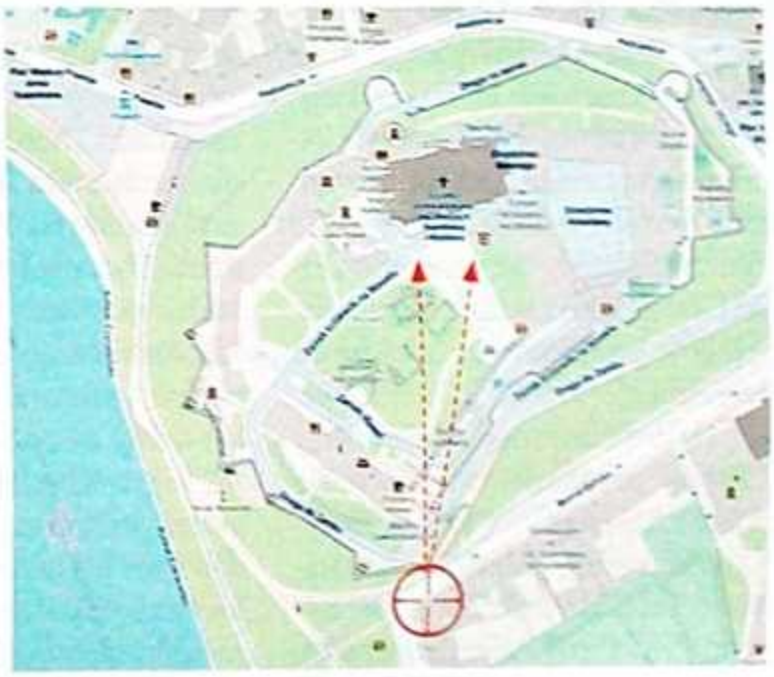

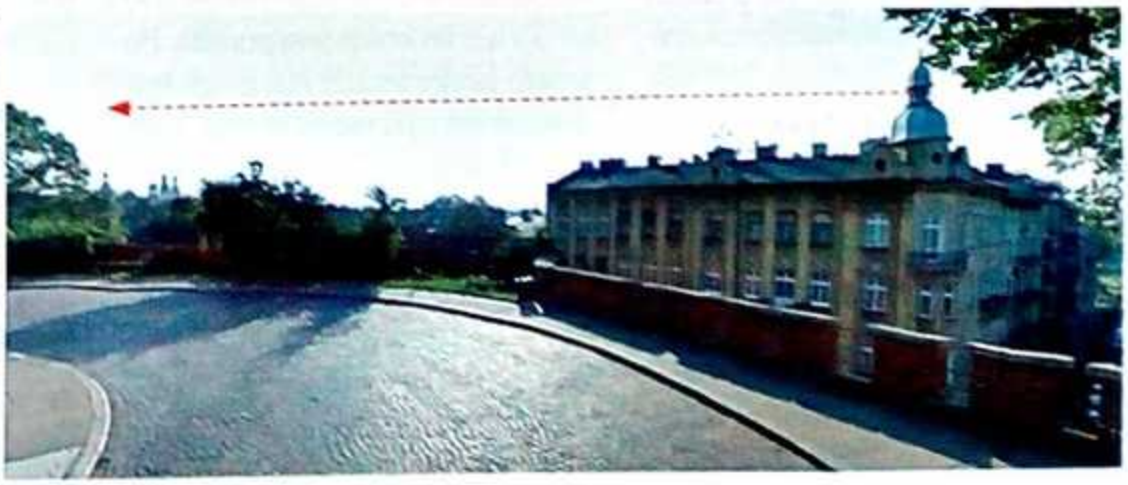

fot. archiwum autora, Wikipedia, Openstreetmapa, Narodowe Archiwum Cyfrowe

>>> Koppe po wyjściu z budynku na Wawelu piechotą pokonywał 5 metrów do czekającego nań samochodu. I na tym odcinku miał zginąć.

Ten plan nie uzyskał akceptacji akowskiej „góry". Formalną przyczyną odmowy była obawa wymordowania wszystkich lokatorów wspomnianej kamienicy i być może także kamienic sąsiednich. Wszak prędzej czy później Niemcy ustaliliby, skąd padł śmiertelny strzał. Faktycznie poszło o co innego. Dowództwo AK podejrzewało, że naziści ukryją śmierć esesmańskiego generała i ważny dla Polaków z Generalnego Gubernatorstwa psychologiczny aspekt całej akcji byłby zaprzepaszczony. Koppe miał zginąć przy otwartej kurtynie...

Tymczasem jednak przygotowania do zabicia obergruppenführera zeszły na dalszy plan, bo oto pod koniec marca 1944 roku gestapowcy aresztowali komendanta Okręgu Krakowskiego AK pułkownika „Lutego", czyli Józefa Spychalskiego, który dwa lata wcześniej powrócił do kraju, zrzucony na spadochronie. Błyskawicznie opracowano plan odbicia „Lutego" z więzienia na Montelupich. Wymagał on zaangażowania wielu ludzi i ciężkiego sprzętu, a nawet współdziałania lotnictwa alianckiego, które miało zbombardować cele w pobliżu więzienia. To plan fantastyczny, tak uznała Komenda Główna AK i zażądała natychmiastowego przeprowadzenia zamachu na Koppego.

Na dowódcę operacji specjalnej „Koppe" powołano wywodzącego się z Szarych Szeregów 26-letniego kaprala podchorążego „Rafała", czyli Stanisława Leopolda. Jak wielu innych żołnierzy AK z rodowodem harcerskim, tak i podchorąży „Rafał" nie posiadał wszechstronnego wykształcenia wojskowego, nie mówiąc już o doświadczeniach wyniesionych z akcji bojowych. Zdaniem jego przełożonych, decydować miały nie umiejętności walki, lecz postawa etyczno-moralna i patriotyzm. Doradcą wojskowym „Rafała" został jego przyjaciel porucznik „Jeremi" (Jerzy Zborowski), który był zwolennikiem tezy, że zamach na Koppego powinna przeprowadzić pierwsza kompania batalionu „Parasol" – ta sama, która 1 lutego 1944 roku w centrum Warszawy zabiła brigadeführera SS Franza Kutscherę.

Warszawiacy poznają Kraków

Nieznająca Krakowa – jego ulic, uliczek, sekretnych przejść, zaułków i zakamarków – grupa warszawskich żołnierzy AK miała w stolicy GG zabić Koppego. Ewentualny sukces takiej akcji graniczył więc z cudem, chociaż dobrej woli i patriotyzmu akowcom z „Parasola" odmówić nie można było. Dopiero w trzeciej dekadzie maja 1944 roku „Rafał" po raz pierwszy pojechał do Krakowa, by zapoznać się z miejscem przygotowywanego zamachu i skonsultować trasę lub trasy odskoku po akcji. Gospodarzem tej wizyty był nowy dowódca Kedywu Okręgu Kraków major „Ziemowit" (Jan Pańczakiewicz), który skontaktował „Rafała" z dowódcami wywiady i łączności Kedywu.

Odpowiadając na pytanie, dlaczego warszawiacy przymierzali się do akcji likwidacyjnej w Krakowie, jej uczestnik Wojciech Świątkowski, pseudonim „Korczak", w wywiadzie dla miesięcznika „Historia – Do Rzeczy" (numer 6 z 2017 roku) powiedział: „Początkowo tę akcję przeprowadzić miał Kedyw Okręgu Kraków AK. Ponieważ jednak dowódca tego okręgu, pułkownik Józef Spychalski, był wtedy aresztowany, krakowska AK zajęta była planowaniem odbicia swego przełożonego. Dowódca Kedywu KG AK pułkownik Jan Mazurkiewicz »Radosław« zlecił więc zadanie zlikwidowania Koppego właśnie »Parasolowi«".

To nie do końca jest prawdą. Po prostu krakowianie nie mogli pochwalić się sukcesami w tego typu akcjach bojowych. Rok wcześniej umknął im Friedrich Krüger, a na początku 1944 roku z zamachu na pociąg z Hansem Frankiem, któremu towarzyszył Wilhelm Koppe, obaj dygnitarze hitlerowscy wyszli cało. Tymczasem „Parasol", mimo poniesionych strat, chodził w glorii skutecznego wykonawcy zamachu na Franza Kutscherę.

Po powrocie „Rafała" do Warszawy rozpoczęto gromadzenie broni, amunicji wraz z granatami i przygotowywanie dokumentów, pieniądzy, oporządzenia i ekwipunku uczestników operacji specjalnej. Najwięcej trudności sprawiało skompletowanie samochodów wraz z kierowcami. W Puszczy Kampinoskiej przeprowadzono ćwiczenia dla nieostrzelanej części zespołu zamachowców. Ćwiczono – jak napisał Piotr Stachiewicz w „Akcji »Koppe«" – „ściśle według założeń: strzelanie z różnych pozycji, różną bronią, różnej długości seriami z pistoletów maszynowych. Mierzono czas przygotowania się do oddania strzałów, ćwiczono wyjmowanie broni". Jednocześnie rozpoczęły się pierwsze odprawy przedakcyjne.

Wybór wariantu

W gronie wysokich rangą oficerów Kedywu Armii Krajowej

Podchorąży Stanisław Leopold, pseudonim „Rafał" (1918–1944), dowódca akcji zamachu na Wilhelma Koppego 11 lipca 1944 roku. Podczas odskoku Leopold został ranny w starciu z Niemcami. Zginął w powstaniu warszawskim kilka tygodni później.

przedyskutowano trzy warianty planu likwidacji Koppego w zależności od trasy przejazdu obergruppenführera z Wawelu do siedziby rządu GG, czyli do gmachu przedwojennej Akademii Górniczej. W końcu zdecydowano się zaatakować limuzynę Koppego i wóz eskorty w samym środku niemieckiej dzielnicy Krakowa, u zbiegu ulicy Powiśle i placu Kossaka, niespełna 500 metrów od Wawelu. W pobliżu placu Kossaka znajdowały się liczne instytucje niemieckie, w tym wyposażone w samochody pogotowie policyjne, kwatera policji porządkowej, koszary pułku piechoty SS, o siedzibie dowództwa Wehrmachtu w Krakowie i jednostce Luftwaffe już nie wspominając.

Za wyborem tego miejsca świadczyło kilka ważnych czynników. Piotr Stachiewicz w „Akcji »Koppe«" pisał: „Z placu Kossaka wychodziło szereg ulic w różnych kierunkach, stanowiących udogodnienie w razie nieprzewidzianych okoliczności. Jednym z głównych argumentów był również i ten, że niedaleka i mało uczęszczana droga z Wawelu do rogu placu Kossaka i ulica Powiśle nie pozwalała zwiększyć odległości pomiędzy samochodem Koppego i samochodem eskorty; przyjmowano, że jeden będzie jechał zaraz za drugim, plan akcji zaś przewidywał równoczesne zatrzymanie, ostrzelanie wozu Koppego i wykonanie na nim wyroku oraz rozprawienie się z obsadą samochodu ochrony".

Po dopracowaniu szczegółów utworzono dwie grupy uderzeniowe i dwie ubezpieczające. W skład pierwszej grupy wchodził dowódca całej akcji „Rafał", jego drugi zastępca „Mietek" (Antoni Sakowski) oraz „Kruszynka" (Zdzisław Poradzki), który pięć miesięcy temu był bardzo skuteczny w najważniejszym momencie zamachu na Kutscherę. Drugą grupą uderzeniową dowodził pierwszy zastępca „Rafała" – „Ali" (Stanisław Huskowski), który również 1 lutego 1944 roku brał udział w akcji „Kutschera" i, niestety, nie zapisał się w niej dobrze. Był wówczas pierwszym zastępcą dowódcy akcji i koledzy z „Parasola" mieli do niego sporo pretensji. We wspomnianej akcji ze zdenerwowania nie poradził sobie z otwarciem teczki zawierającej granaty i tym samym nie użył ich podczas odskoku zamachowców. A ponadto nie zastąpił rannego dowódcy akcji „Lota" (Bronisława Pietraszewicza), tylko pierwszy udał się do samochodu przeznaczonego do odskoku.

Zamach na szefa SS i policji na dystrykt warszawski brigadeführera SS i generała majora Waffen SS Franza Kutscherę miał zostać „powtórzony" w Krakowie. Kadr z filmu „Zamach" z 1958 roku w reżyserii Jerzego Passendorfera.

Na udział „Alego" w akcji „Koppe" wyraził zgodę „Jeremi" (Jerzy Zborowski), zastępca dowódcy batalionu „Parasol", który też jako obserwator całej akcji został przydzielony do pierwszej grupy uderzeniowej.

Wyrok na obergruppenführera SS Wilhelma Koppego miał zostać >>>

fot. archiwum autora

Dziedziniec arkadowy zamku wawelskiego był miejscem wielu hitlerowskich imprez, podczas których generalnemu gubernatorowi towarzyszyli albo Friedrich Krüger, albo – od jesieni 1943 roku – Wilhelm Koppe.

Gdy 11 lipca 1944 roku krótko przed godziną 9:20 mercedes Koppego minął ulicę Straszewskiego i wjechał w ulicę Powiśle (na zdjęciu jej początkowy odcinek), łączniczka „Kama" (Maria Chojecka) była pewna, że kat Generalnego Gubernatorstwa jedzie wprost w „objęcia" zamachowców.

>>> wykonany 5 lipca 1944 roku. Wszyscy zajęli stanowiska zgodnie z ustalonym planem. W pobliżu czekały samochody zamachowców, ale tego dnia mercedes wyższego dowódcy SS i policji oraz wóz ochrony nie pojawiły się na ulicy Powiśle. Hitlerowski dygnitarz pojechał inną trasą.

Dzień wykonania wyroku

Świadek i uczestnik tamtych wydarzeń, cytowany już tu Wojciech Świątkowski w wywiadzie dla miesięcznika „Historia – Do Rzeczy" powiedział, że zamachowcy czekali na Koppego również 7 lipca, „ale nasz cel pozostał tego dnia na Wawelu – odbywało się tam jakieś ważne spotkanie". Samochód obergruppenführera wyjechał natomiast z Wawelu cztery dni później – 11 lipca, gdy znowu czekali na niego akowcy z „Parasola". Ale i tego dnia nie wszystko przebiegało tak, jak zwykle. Oddajmy zatem głos Świątkowskiemu: „Łączniczki ustawione wzdłuż trasy przejazdu po kolei dawały znać, że w mercedesie jedzie nasz cel. Ku naszemu ogromnemu zaskoczeniu okazało się jednak, że limuzyna jechała sama! Mieliśmy tylu ludzi, ponieważ byliśmy przygotowani na to, że Koppemu będzie towarzyszyło auto z ochroną. Zazwyczaj bowiem przed limuzyną Koppego jechał samochód terenowy z żołnierzami. Z powodu kolorystyki nazywaliśmy go »tygrysem«. Jednak nie wiedzieć czemu, akurat tego dnia Koppe jechał

Miejsce nieudanego zamachu na obergruppenführera SS Wilhelma Koppego w Krakowie: wlot ulicy Powiśle na plac Kossaka i ulicę Zwierzyniecką.

TRAGICZNY ODSKOK ZAMACHOWCÓW

Bilans akcji zamachu na Wilhelma Koppego okazał się tragiczny. 5 polskich partyzantów zginęło podczas odwrotu lub zostało zamordowanych w niewoli, kolejnych pięciu raniono.
Sam Wilhelm Koppe nie został nawet draśnięty.
Śmiertelnie ranny został kapitan Hoheisel z 557. Wojskowego Parku Samochodowego, jednak nie on przecież był celem zamachu.
Na mapie prezentujemy najważniejsze punkty odskoku zamachowców.

1 Kraków.
Centrum miasta blisko Wawelu – miejsce nieudanego zamachu. Sam zamach szczęśliwie przebiegł bez strat własnych.

2 Skała.
Zamachowcy uciekali samochodami przez tę miejscowość. Byli już w znacznej odległości od miejsca zamachu, nic nie zapowiadało dalszych tragicznych wydarzeń.

3 Wolbrom.
Również i przez tę miejscowość akowcy przejechali bezpiecznie.

4 Okolice wsi Kąty.
Dopiero tutaj nastąpił kontakt z Niemcami. Akowcy zostali ostrzelani z wozów terenowych. Postrzał w brzuch otrzymał „Dietrich" (Eugeniusz Schielberg).

5 Majątek Udórz.
Tutaj zamachowcy pozostawii rannego „Dietricha", ale w chwilę później zostali ostrzelani przez kolejne wozy niemieckie. Łączniczka „Zeta" (Halina Grabowska) została ranna i pozostawiona przez zamachowców, którzy kontynuują ucieczkę pieszo. Wówczas zostali postrzeleni „Rafał", „Warski", „Orlik", „Ali", „Storch" i „Zeus". „Orlik" i „Ali" zginęli. „Warski" i „Storch" trafiają w ręce Niemców wraz z „Zetą". Trafili do niewoli i po przesłuchaniu wszyscy zostali zamordowani.

6 Przysieka.
Pozostali zamachowcy dotarli do tej miejscowości i po kilku dniach pociągami dojechali do Warszawy.

bez ochrony. Dowódca akcji »Rafał« wydał w końcu rozkaz rozpoczęcia akcji umówionym sygnałem – zdjął czapkę".

I w tym momencie zamachowcy się pogubili. Plan akcji w ogóle nie przewidywał wariantu braku samochodu ochrony. Wszyscy wzrokiem go szukali, pomijając cel główny – limuzynę obergruppenführera, która sunęła ulicą Powiśle. Miała ją zablokować i zatrzymać ciężarówka chevrolet 4 t., kierowana przez dziewiętnastoletniego „Otwockiego" (Mieczysława Janickiego), który – jak się później okazało – miał bardzo mały staż jazdy ciężarówkami i nigdy wcześniej nie uczestniczył w żadnej akcji bojowej. Przyjęto go do grupy zamachowców tylko dlatego, że brakowało kierowców.

„Dwie rzeczy się tu złożyły w niefortunny sposób: z jednej strony ciężarówką »Otwocki« wykonał ten manewr [blokowania limuzyny Koppego] zbyt wolny" – wspominał dalej „Korczak". I dodał: „Tłumaczył to potem tym, że zdezorientował go nieco brak »tygrysa«. Z kolei kierowca Koppego bardzo umiejętnie ominął przeszkodę, wjeżdżając na trawnik, chociaż był już pod ostrzałem. W ten sposób Koppe uciekł z placu Kossaka".

Mercedesa Koppego próbowano jeszcze gonić chevroletem 3/4 t. (nie mylić z samochodem „Otwockiego"), ale 12-cylindrowa limuzyna obergruppenführera wjechała na ulicę Zwierzyniecką i szybko oddaliła się od ścigającego go samochodu. I było po akcji.

Wilhelm Koppe nie został nawet draśnięty, chociaż śmiertelne rany postrzałowe otrzymał kapitan Hoheisel z 557. Wojskowego Parku Samochodowego, który – siedząc obok kierowcy – towarzyszył wyższemu dowódcy SS i policji zamiast samochodu ochrony. Tego bowiem dnia z powodu jakiejś awarii nie wyjechał on z bazy samochodowej, co było pośrednią, ale ważną przyczyną niepowodzenia akcji „Koppe".

Pechowy odskok

Przeprowadzono ją bez strat własnych, ale akowców z „Parasola" szczęście opuściło podczas odskoku. Wprawdzie bez przeszkód kolumną samochodów wyjechali z pełnego Niemców Krakowa, minęli Ojców i Wolbrom i dopiero za Porębą Dzierżną w rejonie wsi Kąty zostali ostrzelani przez żandarmów niemieckich jadących dwoma wozami terenowymi. W tej potyczce postrzał w brzuch otrzymał „Dietrich" (Eugeniusz Schielberg), którego stan pogarszał się z minuty na minutę. Wycofujący się z Krakowa akowcy zatrzymali się w majątku Udórz, gdzie „Dietrichem" zajął się lekarz.

W tym czasie – jak wspominał Wojciech Świątkowski – „od >>>

fot. Leszek Adamczewski, Openstreetmapa

>>> strony północnej nadjechali Niemcy kilkoma samochodami ciężarowymi. Zapewne powiadomili ich ci, którzy ostrzelali nas wcześniej. Mieli nad nami wielką przewagę liczebną. W pierwszym aucie siedzieli tylko kierowca i łączniczka »Zeta«, czyli Halina Grabowska.

Jej tam nie powinno być, ponieważ łączniczki nie uczestniczyły w odskokach. Prawdopodobnie „Zeta" wymogła na zaprzyjaźnionym z nią „Rafale", że wróci do Warszawy razem z żołnierzami z grup uderzeniowych i ubezpieczających. I zapłaciła za to życiem. Gdy kolumna pojazdów, uszczuplona o jeden wóz stracony pod Kątami, dostała się pod ogień Niemców, „Zeta" została ranna w szoferce ostrzeliwanej ciężarówki. „Oczywiście próbowaliśmy ją uwolnić i zabrać ze sobą. Niestety, przewaga ogniowa wroga była tak duża, że było to niemożliwe" – wspominał Świątkowski.

Porzucono więc samochody i uciekano piechotą. Właśnie podczas odwrotu zostali postrzeleni „Rafał", „Warski", „Orlik", „Ali", „Storch" i „Zeus", z których – wraz z wcześniej ranną „Zetą" – „Warski" (Tadeusz Ulankiewicz) i „Storch" (Bogusław Niepokój) zostali ujęci przez Niemców. Natrafili też oni na zwłoki „Orlika" (Wojciecha Czerwińskiego), który albo zginął w walce, albo ranny widząc nadchodzących żandarmów niemieckich popełnił samobójstwo.

Cichy front.
Aleksander Kunicki
Wspomnienia szefa komórki wywiadu w oddziale „Osa" – „Kosa-30" KG Kedywu AK i kompanii „Agat" (późniejszy Parasol) – Aleksandra Kunickiego ps. Rayski. Odpowiadał on za rozpracowanie i przygotowanie zamachów na szczególnie szkodliwych funkcjonariuszy policji i administracji niemieckiej m.in. na Kutscherę, Koppego Weffelsa i Krugera.

Zamów na
www.odk.pl
tel. 42 631 10 97
42 630 71 41
Księgarnia Odkrywcy

„Ali" natomiast zmarł niemal natychmiast po otrzymaniu postrzału.

Trójkę rannych aresztowano i po przewiezieniu do Krakowa osadzono w więzieniu na ulicy Montelupich. Tam byli torturowani, ale czy Niemcom udało się wydobyć z nich jakieś ważne informacje, tego nie wiadomo. Założenia całej akcji „Koppe" znała łączniczka „Zeta", która – jak się rzekło – blisko współpracowała z „Rafalem", a on nie miał przed nią żadnych tajemnic. Gdyby jednak „Zeta" zdradziła, nie spotkałby ją los, który zgotowano całej trójce aresztowanych. 23 lub 24 lipca 1944 roku zostali oni zamordowani. 26 lipca ich ciała zostały przekazane jako NN do Zakładu Medycyny Sądowej. Po przeprowadzeniu sekcji (obejmującej tylko oględziny zewnętrzne) zostały następnie bezimiennie pochowane. Na szczęście dla historyków, protokoły sekcji zachowały się. Dowiadujemy się z nich między innymi, że „Storch" i „Warski" zostali zamordowani strzałami w potylicę.

Wojciech Świątkowski „Korczak" tak oto w wywiadzie prasowym skwitował zamach na Koppego: „W sumie ta nieudana akcja likwidacyjna kosztowała nas pięciu zabitych i pięciu rannych".

Pozostałym uczestnikom zamachu na Koppego udało się wyrwać z kleszczy Niemców i z pomocą miejscowej ludności oraz lokalnych oddziałów AK przedostać do Przysieki leżącej około 30 kilometrów od miejsca, gdzie porzucono samochody. Tam spędzili kilka dni, by wkrótce pociągami powrócić do Warszawy. Do tej Warszawy, gdzie za kilka dni miało wybuchnąć powstanie. Nikt z dowództwa AK nie miał już czasu i ochoty na przeanalizowanie krakowskiego niepowodzenia. Jedynie kapitan „Plug" wysłuchał meldunku „Jeremiego" w tej sprawie.

Podczas powstania warszawskiego zginęło kilku kolejnych uczestników akcji „Koppe", w tym jej dowódca „Rafał". I tylko sam Koppe wojnę przeżył w Krakowie, ze stolicy GG ewakuując się w tym samym czasie co gubernator Frank.

Wymienione w tym rozdziale krakowskie ulice mają współczesne nazwy, które zresztą w zdecydowanej większosci nie zmieniły się od sierpnia 1939 roku. Niektóre nazwy zmienili jednak Niemcy, głównie w dzielnicach zamieszkałych przez Niemców. Rynek Główny to był oczywiście Adolf Hitler-Platz, ulica Powiśle to była Johan von Speyerstrasse, a Zwierzyniecka – Hansestrasse.

Byłemu wyższemu dowódcy SS i policji w Kraju Warty i Generalnym Gubernatorstwie szczęście sprzyjało i po 1945 roku. Pod nazwiskiem Lohmann (było to panieńskie nazwisko jego żony) Wilhelm Koppe kierował fabryką czekolady, rychło stając się znanym w rejonie Bonn przemysłowcem. Wkrótce „namierzyli" go jednak polscy poszukiwacze zbrodniarzy hitlerowskich, a prokuratura Republiki Federalnej Niemiec w 1960 roku aresztowała. 19 kwietnia 1962 roku byłego obergruppenführera SS zwolniono za kaucją 30 000 marek. Dwa lata później prokuratura w Bonn wszczęła przeciwko niemu postępowanie, oskarżając Koppego o współudział w zamordowaniu 145 000 osób. W 1966 roku Sąd Krajowy w Bonn umorzył to postępowanie z powodu złego stanu zdrowia oskarżonego.

Koppe nie tylko nie został wydany Polsce, ale nigdy nie poniósł jakiejkolwiek kary za zbrodnie popełnione w okupowanej Polsce, w której spędził – najpierw w Poznaniu, a później w Krakowie – praktycznie całą wojnę. Zmarł w Bonn śmiercią naturalną 2 lipca 1975 roku w wieku 79 lat.

Leszek Adamczewski
Poznański dziennikarz i pisarz. Autor ponad 20 książek, poświęconych tajemniczym zdarzeniom z czasów II wojny światowej. W miniomym roku ukazały się dwie jego książki: „Prusy w ogniu. Między Królewcem a Toruniem" oraz „Tajemnicza broń Hitlera. Na tropie tajnych badań III Rzeszy". Wiosną tego roku do księgarń trafia kolejna książka Adamczewskiego „Na podbój świata. Śląskie sensacje wojenne".

JAK LIŚCIE GNANE WIATREM HISTORII...

KRES KORPUSÓW POLSKICH NA WSCHODZIE: MAJ – CZERWIEC 1918 R.

PIOTR GALIK

Wiosną ostatniego roku Wielkiej Wojny doszło do zaskakująco szybkiej likwidacji polskich formacji zbrojnych...

W lutym 1918 roku nastąpiło ostateczne zerwanie szeroko pojmowanego nurtu legionowego z Austro-Węgrami i Niemcami. Wciąż jednak trwała organiczna, państwowotwórcza działalność Rady Regencyjnej, będącej de facto samorządem polskim na obszarach „kongresówki" okupowanej przez Niemcy. Równolegle w Paryżu działał Komitet Narodowy Polski, uznawany przez państwa Ententy za jedyną legalną reprezentację polityczną sprzymierzonej Polski. Dyplomatycznym sukcesem KNP stała się deklaracja podpisana w mołdawskim mieście Jassy przez ministrów pełnomocnych Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych, Francji i Włoch. Dokument ten otwierał drogę do uznania Wojska Polskiego za sojusznika Ententy, co w obliczu zbliżającej się klęski Berlina i Wiednia miało ogromne znaczenie dla przyszłości sprawy niepodległości Polski. Odsunęło się bowiem widmo uznania Polski, reprezentowanej przez Radę Regencyjną w okupowanej przez Niemcy Warszawie, za kraj sprzymierzony z sojuszem cesarzy, co w obliczu ich klęski groziło zlekceważeniem przez Zachód naszych aspiracji niepodległościowych. Spodziewane rozstrzygnięcie wojny na korzyść Londynu, Paryża i Rzymu za sprawą nowego, potężnego sojusznika – Stanów Zjednoczonych – pozostawało wówczas jednak jedynie perspektywą na przyszłość. Tymczasem separatystyczne traktaty pokojowe Państw Centralnych z Rosją (marzec 1918) i Rumunią (maj 1918) radykalnie zmieniły polityczny i militarny układ sił w Europie. Faktycznej likwidacji uległ front wschodni, od sierpnia 1914 roku skutecznie odciążający sprzymierzeńców Rosji, co mogło zaważyć na losach frontu zachodniego, wzmocnionego przerzuconymi ze wschodu wojskami.

Odznaka II Korpusu Polskiego upamiętniająca bitwę pod Kaniowem, brąz patynowany, kolekcja prywatna.

Oddziały niemieckie i austro-węgierskie wkroczyły na ziemie dawnych Kresów Rzeczypospolitej, zajmując rozległe obszary, które miały zapewnić tak potrzebne wówczas Państwom Centralnym zasoby żywności i surowców mineralnych. Okupanci zastali tam jednak przede wszystkim zrewoltowaną ludność, rozgrabione, zniszczone fabryki i majątki rolne oraz... polskie formacje zbrojne, które jako jedyne zwarte oddziały wojskowe przetrwały apokaliptyczny czas „wojny wszystkich ze wszystkimi", rozpętanej przez upadek monarchii w Rosji.

Korpusy polskie znalazły się wówczas w bardzo trudnym położeniu. Od decyzji ich dowódców oraz politycznej reprezentacji Polaków na Kresach zależeć miały nie tylko dalsze losy oddziałów, lecz nawet kwestia odbudowy Polski w powojennej Europie. A wybór był trudny. Kręgi polityczne związane z Radą Regencyjną, a ogólniej z orientacją niemiecką, liczyły na porozumienie z Berlinem i Wiedniem co do wspólnej walki z bolszewikami i zrewoltowaną ludnością rusińską. Tymczasem wpływowa na ziemiach zaboru rosyjskiego Narodowa Demokracja, zadziwiająco zgodna w tym względzie z kręgami bliskimi Piłsudskiemu i podległą mu, rozrastającą się dynamicznie siatką konspiracyjną Polskiej Organizacji Wojskowej, przestrzegały przed zaangażowaniem Wojska Polskiego na Wschodzie w tamtejszą wojnę domową, a nawet przed odwetem wobec band chłopskich, mordujących Polaków i rozgrabiających szlacheckie

majątki – najważniejsze źródło zaopatrzenia oraz ochotników do szeregów Korpusów Polskich. Wielka polityka mocarstw w istocie sprawiła, że polskie formacje wojskowe na Kresach znalazły się w opłakanej sytuacji szachowego mata. Każda z możliwych decyzji mogła przynieść klęskę żołnierzom i wywołać fatalne skutki dla sprawy polskiej na arenie międzynarodowej.

Walka zbrojna z niepomiernie potężniejszymi siłami Państw Centralnych, choć zapewne przychylnie skomentowana w gabinetach polityków paryskich i londyńskich, zakończyłaby się nieuchronną klęską i zapewne bezlitosnymi represjami ze strony Berlina i Wiednia. Straty materialne, ale także i te najdotkliwsze – ludzkie, byłyby zapewne ogromne.

Kapitulacja bez oporu i dobrowolna likwidacja jednostek wojskowych, która mogła oszczędzić wiele krwi, oznaczałaby niejako dobrowolną abdykację Polaków z aspiracji do wcielenia ziem kresowych w granice odbudowanej po wojnie Rzeczypospolitej.

Ucieczka na wschód, a w jej wyniku wynegocjowane już wstępnie przez emisariusza POW w Moskwie taktyczne przyłączenie się formacji polskich do armii bolszewickiej, zapewne nawet rozsądne z punktu widzenia więźnia twierdzy w Magdeburgu, pozostawało poza dyskusją dla większości żołnierzy wywodzących się z dawnej armii carskiej – świadków barbarzyństw rewolucyjnych i weteranów krwawych starć z Czerwonymi.

Wreszcie otwarte przymierze Korpusów Polskich z Niemcami i współudział w okupacji oraz pacyfikacji Kresów, w perspektywie doraźnej wyjście najbliższe rzeczywistemu położeniu Polaków, zagrożonych bezlitosnymi pogromami na Ukrainie, byłoby zabójcze dla budowanego z wielkim trudem wizerunku Polski jako kraju sprzymierzonego z mocarstwami zachodnimi.

Tak jak nie było prostej, jednoznacznej odpowiedzi na fundamentalne pytanie o dalsze poczynania, tak też różnie potoczyły się losy polskich korpusów.

Feliks Sas – Jaworski – już jako major – wśród swoich ułanów na Ukrainie. Widoczne duże różnice w umundurowaniu i wyposażeniu „jaworczyków", typowe dla partyzanckiego okresu walk na Kresach.

Do ostatniego naboju. Kaniów – kres epopei Żelaznej Brygady

Weterani „Żelaznej Brygady" Legionów Polskich, którzy w lutym 1918 roku pod Rarańczą niespodziewanie dla Wiednia i Berlina jednostronnie zerwali sojusz z przegrywającymi wojnę mocarstwami, a następnie odbyli trzystukilometrowy marsz przez ogarnięte rewolucyjnym chaosem Kresy dawnej Rzeczypospolitej, zdołali szczęśliwie dotrzeć do formowanych od grudnia 1917 roku oddziałów II Korpusu Polskiego w Besarabii. Jednak połączenie się obu formacji, tak dalekich od siebie duchem, tradycjami i przekonaniami politycznymi, a zwłaszcza wizją drogi do odbudowy niepodległości, nie było wcale oczywiste ani proste. Najważniejszym czynnikiem sprzyjającym integracji tak różnych od siebie, ale ożywianych patriotyzmem wojsk, były decyzje „Polskiego Komitetu Wykonawczego Frontu Rumuńskiego", czyli lokalnego >>>

fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Odznaka pamiątkowa Lekkiej Brygady III Korpusu Polskiego, srebro patynowane, czarna emalia, kolekcja prywatna.

>>>

ciała politycznego, aspirującego do reprezentowania wszelkich środowisk polskich tego regionu. Rezolucja PKW FR, opublikowana na wieść o przybyciu oddziałów Hallera do miasta Soroki, głosiła otwarcie: „Witając całym sercem żelazną brygadę jako ideowy zawiązek narodowej armii polskiej, jako kadrę dla dalszych formacji tej armii, Komitet Wykonawczy oświadcza pełną gotowość wszystkimi siłami popierać żelazną brygadę i prowadzić z nią wspólną akcję ku osiągnięciu naszych celów narodowych".

Połączenie w jeden, sprawnie działający organizm militarny dwóch tak różnych formacji wojskowych nie było sprawą łatwą. Postanowiono utrzymać strukturę organizacyjną II KP, zasilając szeregi jego oddziałów przybyłymi zza frontu legionistami. W marcu 1918 roku, po połączeniu sił, korpus liczył około 7 000 żołnierzy (w tym blisko dwa tysiące legionistów), 38 dział polowych, 6 ciężkich i blisko 1500 wozów konnych. Oddziały bojowe składały się z 4. Dywizji Strzelców oraz 5. Dywizji Strzelców (każda w rzeczywistej sile niepełnego pułku piechoty), odczuwalnie wzmocnionych przez włączenie do podległych im pułków strzelców: 13 i 14 oraz 15 i 16 po jednym batalionie weteranów Żelaznej Brygady. Kawalerię Korpusu tworzyły w pełni „tubylcze" 5. oraz 6. pułki ułanów. Wsparcie ogniowe zapewniać miała 4. Brygada Artylerii, złożona jedynie z dwóch dywizjonów, rozwiniętych następnie do siły pięciu baterii, czyli niepełnego pułku. Poza strukturami brygady pozostawały dwie baterie haubic, podlegające (po jednej) dowództwom dywizji piechoty. Wojska techniczne reprezentował 2 Pułk Inżynieryjny (w realnej sile batalionu saperów).

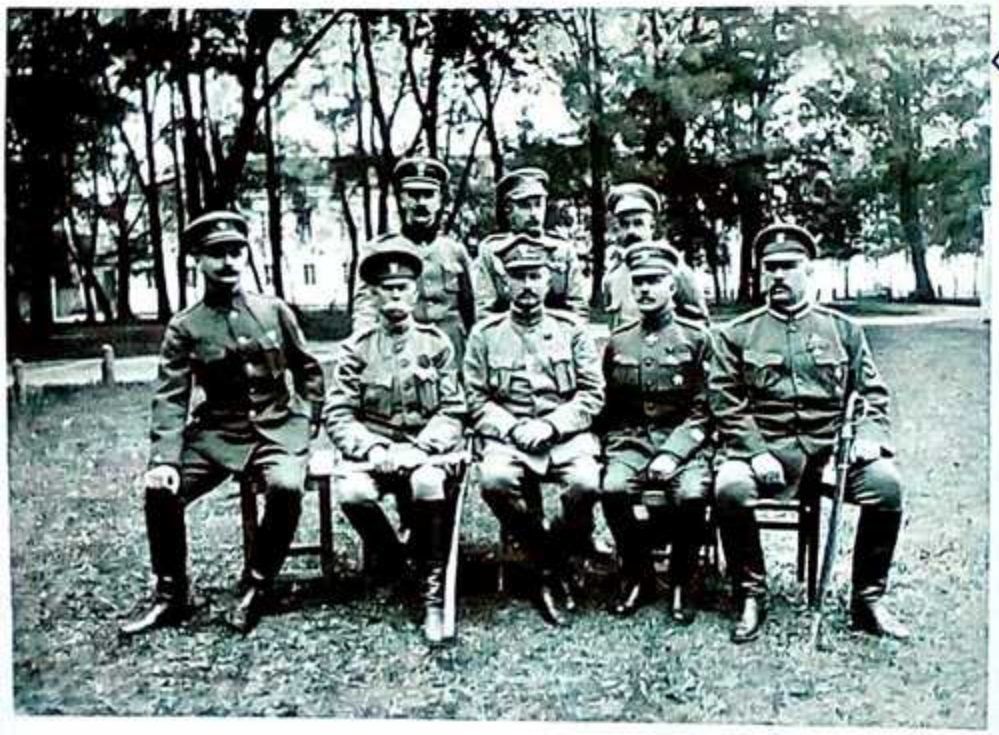

Generał Józef Dowbor – Muśnicki wraz z oficerami sztabu I Korpusu Polskiego, Bobrujsk 1918 [domena publiczna, fot. z publikacji Adam Szelągowski „XX wiek" Warszawa 1938].

Reorganizacja Korpusu nie obyła się bez zmian kadrowych. Dotychczasowy dowódca, gen. Sylwester Stankiewicz, zawodowy oficer armii carskiej i weteran walk na Dalekim Wschodzie oraz jego krótkotrwały następca, gen. Władysław Aleksander Glass, stanęli w obliczu nieoczekiwanego pogorszenia się sytuacji politycznej i militarnej. Królestwo Rumunii uległo przeważającym siłom Państw Centralnych i zmuszone zostało do kapitulacji. Jednym z warunków zawieszenia broni był obowiązek rozbrojenia lub wydalenia z granic Rumunii wszelkich oddziałów Ententy – a zatem także II Korpusu Polskiego. Aby uniknąć niemieckiej niewoli – o łatwych do przewidzenia skutkach dla „buntowników" z Polskiego Korpusu Posiłkowego – konieczne było zatem jak najszybsze opuszczenie Besarabii i marsz na wschód. Przeciwni temu byli gen. Stankiewicz i Glass, skłonni podporządkować się Radzie Regencyjnej i poddać się Niemcom. Zdania tego nie podzielała większość kadry dowódczej korpusu. Decyzją Polskiego Komitetu Wykonawczego z dnia 28 marca 1918 roku nowym komendantem II KP został generał Józef Haller, posługujący się wówczas pseudonimem Mazowiecki, a szefem sztabu – płk Michał Żymierski. Także dowództwo dywizji i pułków powierzono weteranom Legionów Polskich. Rozgoryczeni tą decyzją generałowie Stankiewicz i Glass opuścili korpus wraz z około 400 zwolennikami kapitulacji. Pozostali żołnierze wyruszyli do długiego marszu, docierając w połowie kwietnia w okolice Kaniowa nad Dnieprem. Obozowisko polskie obejmowało kilka sąsiednich wiosek, leżących około 10 kilometrów od miasta. Okupacja niemiecka

fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

miała obejmować obszary Ukrainy Prawobrzeżnej (na zachód od Dniepru), zatem pozostawało jedynie pokonanie tej przeszkody wodnej, by znaleźć się poza zasięgiem Berlina i Wiednia. Generał Haller nie ufał zapewnieniom emisariuszy Polskiej Organizacji Wojskowej, posiadającej na Zadnieprzu rozbudowane struktury konspiracyjne i deklarującej wszelkie wsparcie dla korpusu. Sytuacji nie ułatwiły także decyzje zasłużonego dla tworzenia polskich oddziałów wojskowych na Kresach generała Aleksandra Osińskiego, który dokonał zaskakującej wolty politycznej. Zerwał on nagle kontakty z Polskim Komitetem Wykonawczym, a przyjął zwierzchnictwo Rady Regencyjnej, uzyskując od niej nominację na stanowisko naczelnego dowódcy Wojska Polskiego na Ukrainie. Wiązało się to oczywiście z przyjęciem orientacji proniemieckiej. Józef Haller znalazł się zatem w trudnej sytuacji. Postanowił trwać w gotowości, oczekując na dalszy rozwój wydarzeń. Tymczasem Niemcy zgromadzili wokół zajmowanego przez Polaków terenu znaczne siły, około 12 tysięcy żołnierzy, wspartych przez 3 baterie dział polowych. Po kilkudniowej „wojnie nerwów", w czasie której Niemcy 6 maja 1918 roku zażądali kapitulacji, lecz wkrótce cofnęli ultimatum, doszło w końcu do walki. Nad ranem 11 maja oddziały niemieckie zaatakowały z zaskoczenia Polaków, obchodząc w ciemnościach linie posterunków korpusu. Początkowe sukcesy atakujących – opanowanie wsi Potok, Kutelewka i odcięcie części sił 5. Dywizji – przerodziły się w zacięte, bardzo krwawe walki. Oddając część zajmowanego terenu, Polacy przeszli do obrony okrężnej wokół osad Jemczycha, Kozin i Masłówka. Tam stawiali desperacki opór, zadając Niemcom poważne straty w ludziach. Ułani 6 pułku przypuścili nawet gwałtowną szarżę konną, zagarniając do niewoli kompanię nieprzyjacielskiej piechoty. Artyleria korpusu, nie utraciwszy w odwrocie ani jednego działa, skutecznie ostrzeliwała przeciwnika, powstrzymując jego natarcia. Bitwa trwała przez cały dzień, lecz po 12 godzinach boju obrońcy wyczerpali zapasy amunicji. Dowództwo niemieckie, zapewne pod wpływem znacznych strat własnych (ok. 1500 żołnierzy), nakazało przerwanie ognia >>>

Generał Eugeniusz de Henning-Michaelis (1863-1939), generał porucznik armii rosyjskiej, dowódca III Korpusu Polskiego na Podolu.

>>> i wszczęło negocjacje. Polacy, którzy pozostali bez środków do walki i stracili blisko tysiąc poległych i rannych, uzyskali obietnicę honorowych warunków złożenia broni. Żołnierze polscy zostali rozbrojeni i zgromadzeni w tymczasowych kwaterach jenieckich. Nie wszyscy jednak poddali się biernie złemu losowi. Zaskakująco wielu, bo blisko 3 tysiącom, a więc niemal połowie stanu korpusu, udało się uniknąć pojmania i rozproszyć w okolicy. Dzięki pomocy POW, różnych polskich stowarzyszeń cywilnych oraz wielu napotkanych przypadkowo osób, kaniowczycy – jak zaczęto nazywać weteranów bitwy – wydostali się z niebezpiecznej Ukrainy, podążając do innych oddziałów spod znaku Orła Białego: na Kaukazie, Kubaniu, Murmaniu, Syberii, a nawet we Francji, gdzie generał Haller objąć miał komendę nad armią polską, walczącą u boku Ententy. Bitwa kaniowska, nie mająca praktycznego znaczenia militarnego, była doniosłym wydarzeniem na płaszczyźnie politycznej. Legioniści z Żelaznej Brygady stoczyli tam bowiem symboliczny bój z trzecim z kolei z zaborców, dementując własną krwią uporczywe pomówienia o proniemieckość.

Pamiętnik Kapelana Legionów Polskich

Ks. Józef Panaś

Podstawą niniejszego wydania była praca z 1920 roku „Pamiętniki Kapelana Legionów Polskich".

Praca zawiera wspomnienia księdza Józefa Panasia, kapelana II Brygady Legionów. Pamiętnik księdza pisany był niemal na bieżąco, a jego tytuł i treść wpisuje się, nie jako alternatywa dla I Brygady, ale dopełnienie czynu legionowego, jako świadectwo drogi, którą podążało „pokolenie niepokornych", synów ziemian i chłopów, synów mieszczan i robotników, spolonizowanych Tatarów i Żydów, absolwentów renomowanych uczelni oraz szkółek ludowych.

Zamów na
www.odk.pl
tel. 42 631 10 97
42 630 71 41
Księgarnia Odkrywcy

Dowborczycy – wierni przysiędze do gorzkiego końca

I Korpus, pozostający pod dowództwem generała Józefa Dowbora – Muśnickiego, utworzony został przez Polaków służących wcześniej w jednostkach carskich Frontu Północnego i Frontu Zachodniego, czyli na ziemiach litewsko-białoruskich Rzeczypospolitej. Jako jedyny osiągnął faktyczną, a nie jedynie nominalną siłę korpusu. W maju 1918 roku, osłabiony niedawnymi walkami o Bobrujsk i Mińsk, I KP liczył nadal ponad 23 tysiące żołnierzy. Składał się wówczas z trzech dywizji piechoty, jednej dywizji kawalerii, dwóch brygad artylerii oraz brygady rezerwowej, pułku inżynieryjnego i licznych mniejszych oddziałów, w tym nawet eskadry lotniczej. „Dowborczycy", opromienieni zasłużoną sławą pogromców Czerwonych, nie poszli w ślady rodaków z II Korpusu. Pomimo aktywności struktur konspiracyjnych POW, nawołujących do podjęcia walki przeciw Niemcom nawet wbrew rozkazom dowództwa, w godzinie próby przeważyła dyscyplina i subordynacja. Żołnierze gen. Muśnickiego, który jeszcze na początku maja 1918 roku deklarował wobec swoich podkomendnych: „Broń odebrać można tylko Polakom już martwym, bo żywi jej nie oddadzą", poddali się Niemcom bez walki. Nie bez znaczenia dla dowódcy korpusu była niedawna porażka gen. Hallera pod Kaniowem, mając zatem do wyboru walkę bez szans na sukces lub hańbę przymierza z bolszewikami, gen. Muśnicki postanowił „wziąć na siebie" trudną decyzję i 21 maja 1918 roku podpisał z Niemcami osiemnastopunktową umowę kapitulacyjną I KP. Politycznym sukcesem tej ugody było postanowienie, że Rada Regencyjna nie uzyskała żadnej władzy nad oddziałami Korpusu, a także zapewnienie, że nie wejdą one w skład „Polnische Wehrmacht", czyli szkolonych przez Niemcy kadrowych jednostek polskich. Wieść

Odznaka pamiątkowa I Korpusu Polskiego, srebro, kolekcja prywatna.

o złożeniu broni przyjęta została przez wielu żołnierzy z rozgoryczeniem, jednak nie doszło do aktów samowoli czy rokoszu przeciw woli dowódcy. Tysiące „Dowborczyków", rozbrojonych wprawdzie i zdemobilizowanych, w nieodległej już przyszłości zasilić miało odradzające się Wojsko Polskie jako bardzo wartościowy element kadrowy. Generał Dowbor – Muśnicki został w styczniu 1919 roku – za zgodą Józefa Piłsudskiego – naczelnym komendantem powstańczych wojsk wielkopolskich, a zatem jego trudna decyzja z maja 1918 r. nie przyniosła mu wstydu ani niesławy...

Koniec kresowej rapsodii. Tragiczne losy III Korpusu Polskiego

III Korpus Polski, który zaczęto tworzyć na ziemiach południowej Ukrainy z końcem roku 1917, nie osiągnął siły swoich bratnich formacji na Białorusi i w Besarabii. Dowódca korpusu, generał Eugeniusz de Henning – Michaelis, potomek szlacheckiego rodu z Kurlandii, zdołał do lutego 1918 roku zebrać w rejonie wielkiego majątku ziemskiego Antoniny w pobliżu Starokonstantynowa (Ziemia Płoskirowska) spontanicznie powstające oddziały lokalnej samoobrony

polskiej, złożone głównie z drobnej szlachty kresowej, zaopatrywanej i utrzymywanej przez zamożnych ziemian Podola. Takie tło społeczne zdeterminowało aktywność nominalnego korpusu, liczącego w rzeczywistości zaledwie niespełna 2 000 zbrojnych w paru kilkusetosobowych zgrupowaniach. Żołnierze polscy zajęli się przede wszystkim obroną majątków szlacheckich, zagrożonych grabieżą i pogromem mieszkańców przez uzbrojone, rojące się od dezerterów z dawnej armii carskiej bandy chłopskie, wojska ukraińskie oraz siły bolszewickie. Wśród drobnych, ale zaciętych starć, gdzie pardonu nie dawano i nie oczekiwano, hartowały się w walce szwadrony ochotnicze, zebrane w pułk szwoleżerów rotmistrza Feliksa Sas – Jaworskiego oraz 2. i 7. pułki ułańskie, wspierane przez batalion strzelecki, dywizjon artylerii i pododdział samochodów pancernych. Oddziały te, zgrupowane jako Lekka Brygada III KP pod komendą pułkownika Juliusza Rómmla, stały się przedmiotem walki politycznej pomiędzy stronnikiem Rady Regencyjnej, Władysławem Raczkiewiczem i piłsudczykiem Tadeuszem Hołówko, emisariuszem POW na Ukrainie. Raczkiewicz dążył do porozumienia z dowództwem niemieckim i ewakuacji wojska do „kongresówki", Hołówko zabiegał o natychmiastowe przerwanie akcji odwetowych wobec chłopskich band i bolszewickich partyzantów, dewastujących polskie majątki szlacheckie, by umożliwić wojsku taktyczne porozumienie z Moskwą i bezpieczne opuszczenie ziem okupowanych przez Niemcy i Austro-Węgry. Tymczasem względy polityczne nie mogły nakłonić ochotników polskich do pozostawienia rodaków, a często własnych rodzin, na niełaskę ukraińskich rezunów, którzy pokazali, co potrafią pod Niemirowem, gdzie doszło do okrutnej masakry rozbrojonych polskich ułanów. „Szarpana wojna" z chłopską partyzantką trwała nadal, przynosząc oddziałom korpusu trudne do uzupełnienia straty w ludziach. W końcu Polacy, wykrwawieni w codziennych utarczkach i otoczeni przez blisko dziesięciokrotnie liczniejsze zgrupowanie chłopskich band zbrojnych, w nocy z 9 na 10 czerwca 1918 roku skorzystali z jedynej szansy ocalenia – poddania się dywizji węgierskiej, stacjonującej w okolicach miasta Chmielnik nad Bohem. Oficerowie węgierscy, nadzorujący kapitulację III KP, niejednokrotnie okazywali sympatię i współczucie przedstawicielom zaprzyjaźnionego narodu. Przymykali też oko na przypadki ukrywania broni i dyskretnego „znikania" miejscowych ochotników, którzy pod komendą rtm. Jaworskiego wybrali dalszą walkę jako konna partyzantka, kąsająca lokalne bandy rabusiów lub przedzierali się na Kubań, by tam ponownie utworzyć polskie oddziały wojskowe, tym razem u boku „białych" Rosjan. Mimo że wybrzmiały ostatnie dźwięki kresowej rapsodii Korpusów Polskich, bój o niepodległość Polski trwał nadal.

WARSZAWA. Pomnik Dowborczyków.
Le Monument des soldats de Gen. Dowbor.

II Rzeczpospolita pamiętała nie tylko o bojach legionistów, lecz także o żołnierzach polskich z korpusów na Kresach. Warszawski pomnik Dowborczyków, pocztówka z lat międzywojennych, kolekcja prywatna.

Piotr Galik

Historyk, pisarz, erudyta. Długoletni współpracownik i przyjaciel miesięcznika „Odkrywca", konsultant z dziedziny wojskowości, chociaż jego ogromna wiedza obejmuje wiele innych dziedzin z zakresu historii.

Wielka Wojna Polaków 1914-1918. Andrzej Chwalba

Książka w niezwykle ciekawy sposób przedstawia całościowy obraz zmagań i losów Polaków w latach 1914–1918. Autor prezentuje losy milionów mieszkańców dawnej Rzeczypospolitej od dnia wybuchu I wojny światowej do 11 listopada 1918 roku, daty symbolicznej, gdy na froncie zachodnim doszło do zawieszenia broni i zakończenia wojny, a w Polsce do przekazania władzy wojskowej przez Radę Regencyjną Józefowi Piłsudskiemu. Opowiada o losach trzech zaborów i trzech obszarów okupowanych, praktykach okupantów, które później zostały powtórzone w większej skali i w brutalniejszej formie podczas II wojny światowej, o aktywności najwybitniejszych polskich polityków i wojskowych, wysiłku politycznym i militarnym, który doprowadził do „polskiego listopada" 1918 roku i odzyskania niepodległości.

Zamów na
www.odk.pl
tel. 42 631 10 97
42 630 71 41
Księgarnia Odkrywcy

LITERATURA:

JÓZEF PANAŚ, „My, Druga Brygada", Katowice 1929
JOANNA POTOCKA, „Wszystko, co kocham. Dziennik z lat 1914-1919", Wrocław 2014
WACŁAW LIPIŃSKI, „Walka zbrojna o niepodległość Polski w latach 1905 – 1918", Warszawa 1990
JAN DĄBROWSKI, „Dziennik 1914-1918", Kraków 1977
ZOFIA KOSSAK – SZCZUCKA, „Pożoga", Kraków 1922
EUGENIUSZ DE HENNING-MICHAELIS, „W zamęcie", Gebethner i Wolff, Warszawa 1929

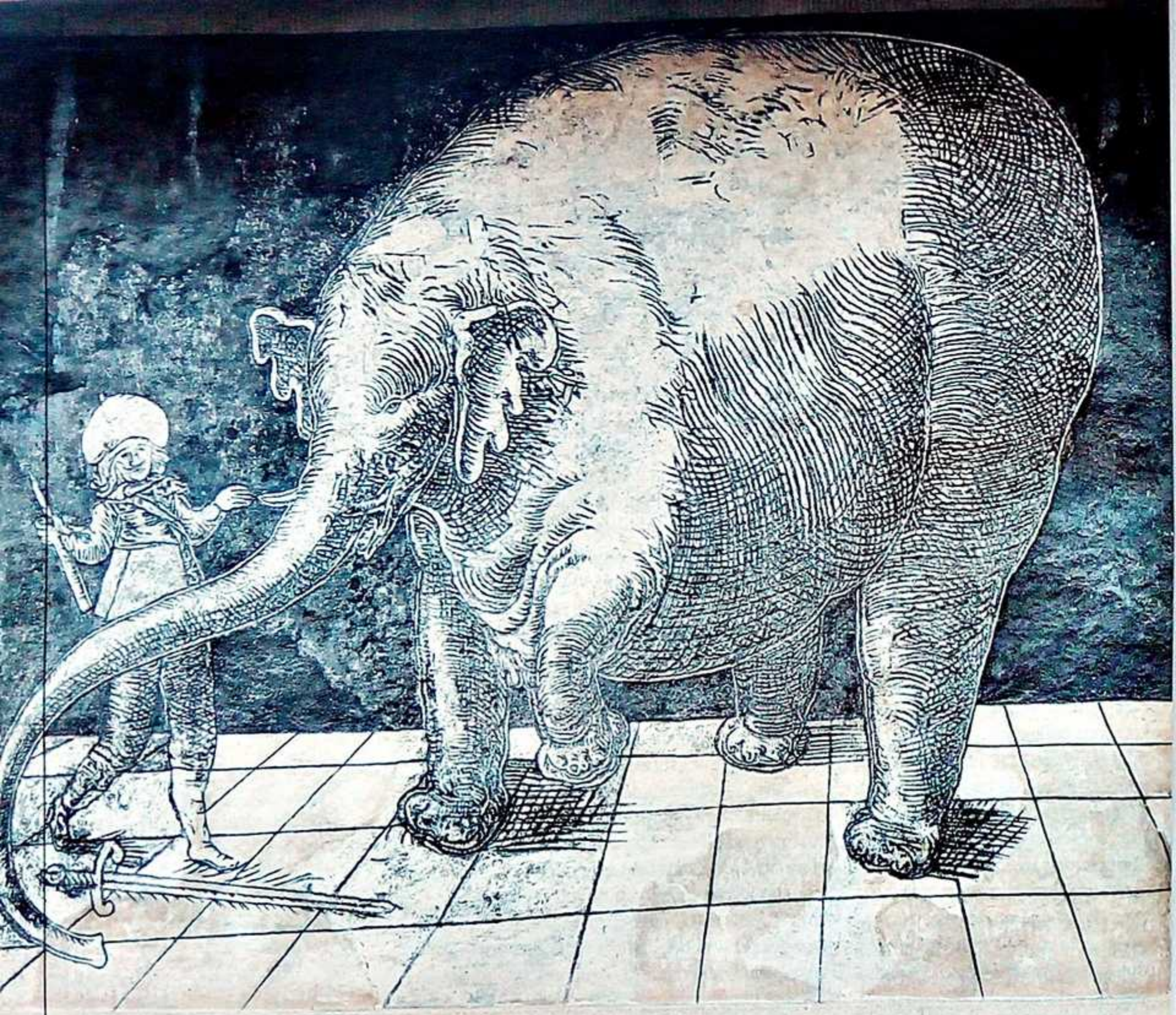

BLÜCHER – MARSZAŁEK W CIĄŻY ZE SŁONIEM...

ROBERT MAZIARZ

Napoleon gardził tym „pijanym huzarem", który ponoć uwielbiał palić marihuanę i chadzał na czubkach palców. Ale to on przyczynił się walnie do klęski pod Waterloo.

14 października 1806 roku, kierowany przez Bonapartego walec rozjechał pod Jeną i Auerstedt Prusaków. Ich hufce klęknęły przed cesarzem Francuzów. Twierdze Fryderyka Wilhelma III kapitulowały przed Wielką Armią maszerującą na wschód jedna po drugiej. On sam zmuszony został do ucieczki z Berlina, by ukryć się tam, gdzie pieprz rośnie, czyli w Królewcu. Ostatniej nocy tego feralnego dla Prusaków miesiąca, pod obsadzoną wielotysięczną armią stolicę guberni zachodniopomorskiej podciągnął gen. Antoine Lasalle, ze swoimi pięciuset kawalerzystami. Nakazał on żołnierzom rozpalić wokół miasta tysiące ognisk, wykrzykiwać głośno rozkazy, natomiast konnym zalecił przetaczać pod murami wokół twierdzy wozy. Czynił tej nocy wielki zgiełk i harmider. Nad ranem 1 listopada zażądał kapitulacji. Sześciotysięczna i wyposażona w siłę 160 dział załoga poddała się, sądząc, że pod Szczecin przybyło pół armii Napoleona. Wystrychnięty na dudka dowódca garnizonu baron von Romberg miał podarować Lasalle'owi swą fajkę w dowód uznania za chytrze przeprowadzoną przez Francuza batalię oblężniczą. Bonaparte powziąwszy informację o rzuceniu broni przez cały garnizon szczeciński przed zaledwie pięciuset żołnierzami lekkiej jazdy, pisał: „Jeżeli huzarzy zajmują fortece, nie pozostaje mi nic innego, jak rozpuścić korpus inżynieryjny i kazać stopić swoją ciężką artylerię".

Grzęzły im w gardłach żaby

Upatrujący dachu nad swą głową w Szczecinie generał Gebhard Leberecht von Blücher, zmuszony został do zmiany kierunku swojej ucieczki przed wojskiem cesarskim. Podążył do Lubeki, by tam 7 listopada kapitulować, jako ostatni spośród generałów króla Wilhelma III. Trafił do niewoli. Zbrojne ramię Hohenzollerna zostało amputowane, a niedobitki pozostałe

Sgraffito na ścianie trzebiatowskiej kamienicy.

po laniu spuszczonym mu przez Francuzów, szukały schronienia w nadbałtyckich miastach – Gdańsku i Kołobrzegu. To w oparciu o wymienione twierdze Prusy postanowiły reaktywować swoje siły zbrojne, licząc na wsparcie płynące drogą morską ze strony ich szwedzkiego i angielskiego koalicjanta. Liczono głównie na Brytyjczyków. Wszak to flota Zjednoczonego Królestwa panowała na Morzu Bałtyckim i to w niej Prusy pokładały nadzieję.

Cały impet swojej armii skierował Napoleon na wschodnie wybrzeże i próby zdobycia Gdańska. Na Pomorzu Zachodnim panował chaos. Wspierani przez Anglików żołnierze pruscy zabarykadowali się w kołobrzeskiej twierdzy i wypuszczali się z niej, by nękać Francuzów. Słynne eskapady kawalerzystów Ferdinanda Schilla paraliżowały działania urzędników i przyprawiały o zawrót głowy żołnierzy Napoleona. Partyzanci Wilhelma III siali strach, rozbijali wrogie oddziały, bezczelnie łupili kurierów i udaremniali ściąganie przez Francuzów kontrybucji. To przez nich pomorskie plaży bezogonowe i mięczaki stawały kością w gardłach zwycięskich wojsk Bonapartego. Idea Napoleona, mówiąca, że „wojna wyżywić musi się sama" trudną była do realizacji w tamtym czasie na Pomorzu...

Peter Edward Stroehling – Porträt Gebhard Leberecht von Blücher.

fot. Muzeum Kołobrzeskie „Patria Colbergiensis"

Generalska transakcja

Twórca Wielkiej Armii postanowił położyć kres anarchii panującej nad Bałtykiem. Przed oblicze przybywającego 19 grudnia do Warszawy cesarza wezwany został Claude Victor Perrin. Stojący już od 1792 roku u boku Napoleona generał otrzymał wówczas rozkaz: ruszyć na Pomorze, by przed końcem zimy zdobyć niepokorny Gdańsk i Kołobrzeg!

Nieświadomy zagrożeń Perrin udał się w drogę, by zawitać do Kołobrzegu jako jego zdobywca. Trafił tam szybciej niż przypuszczał. Znalazł się w nadbałtyckiej twierdzy 15 stycznia! Trzy dni wcześniej wzięty został do niewoli przez mieszczan i partyzantów >>>

>>> w Choszcznie! Scenariusz napisany przez wiernych swemu królowi mieszkańców Pomorza pomieszał szyki Bonapartemu. Rozpoczęły się rokowania między ówczesnym komendantem nadbałtyckiej twierdzy a dowódcą wojsk ją oblegających. Z Kołobrzegu wysłano list do Francuzów. Informowano w nim, że ich generał wymieniony może zostać na przebywającego od ponad dwóch miesięcy w niewoli francuskiej – generała Blüchera. Dokonano zamiany jeńców. Ich drogi skrzyżowały się później w bitwie narodów pod Lipskiem. Obydwaj zostali marszałkami. Jeden marszałkiem Francji, zaś drugi marszałkiem Prus. Gdyby nie pojmanie Victora Perrina, uwięzienie go w Kołobrzegu i późniejsza wymiana na Blüchera – z pewnością nie miałby kto wygrać jednej z najważniejszych bitew świata...

Wielki generał czy dziarski staruszek?

Kim był uwolniony dzięki pojmaniu francuskiego generała Blücher? Z pewnością znany nam jest jako feldmarszałek, dowódca wojsk pruskich spod Kaczawy, Lipska, Budziszyna, Lützen, Brienne-le-Château, Craonne i Laon. Był również kawalerem Wielkiego Krzyża Żelaznego. Wielu widzi w nim dzielnego dowódcę, inni szalonego staruszka, zawdzięczającego wszystkie swe dokonania wybitnym taktykom Scharnhorstowi i Gneisenauowi. Czy był jednym z najważniejszych pruskich dowódców okresu wojen napoleońskich, czy może nędznym taktykiem nieposiadającym orientacji w terenie? Bezspornym jest fakt, że więcej bitew przegrał niż zwyciężył, choć rzeczywiście pogonił Prusaków, by zdążyli na czas pod Waterloo, ratując tym samym Wellingtona.

Blücher był rosłym mężczyzną, którego życie nauczyło ofensywnego działania na polu walki i dążenia do bezpośredniego starcia. Znany z kawaleryjskich szarż i ponoć jedynej komendy, którą potrafił wydawać, otrzymał przydomek Marschall Vorwärts (Marszałek Naprzód). Hulaszczy tryb życia, zamiłowanie do hazardu, liczne miłostki, romanse i libacje, w których chętnie uczestniczył, nie zjednywały mu przyjaciół wśród wytresowanych w duchu pruskiego „zamordyzmu", pochodzących z junkierskiej szlachty, oficerów. O jego ciągocie do loterii świadczy chociażby sytuacja, która miała miejsce w 1814 roku, po zajęciu Paryża przez wojska pruskie. Blücher oddał się wówczas namiętnej grze w tamtejszych kasynach, przegrywając astronomiczne sumy. Wymuszona przez wielkiego generała na Banku Francji pożyczka opiewająca na kwotę 100 000 franków została przez zwycięzcę spod Waterloo roztrwoniona! Pozostawił on w podbitym przez siebie Paryżu 6 milionów franków! Zastawił tam wszystkie swoje dobra i kwoty przewyższające odszkodowania wojenne Paryża! Miało się tę fantazję i gest...

Delirium tremens

Z racji swojego wieku oraz poprzez dawanie przykładu męstwa dowodzonym przez siebie żołnierzom, ci mówili o nim „papa Blücher". Gdy dowodzeni przez niego piechurzy szli zmęczeni, kazał się ściągać z konia i maszerował wraz z nimi. Nakazywał swoim żołnierzom, by ci obchodzili się z nim w sposób delikatny, gdyż był święcie przekonany, że wykony jest... z kryształu! Nie uszło uwadze jednego z angielskich huzarów, gdy pruski marszałek, po wygranej bitwie pod Waterloo, stał na moście, plując do rzeki, ku radości swoich podwładnych... Podkomendni uwielbiali swojego dowódcę za fraternizowanie się z nimi. Widzieli w nim prostego, jak oni sami, żołnierza.

Napoleon gardził pruskim generałem, tytułując go „pijanym huzarem", bowiem tajemnicą poliszynela była skłonność Blüchera do używek. Jak widać, informacja o jego słabościach dotarła do samego cesarza Francuzów. Ponoć uwielbiał palić marihuanę i upijał się ginem, przyprawiającym go o drżenie rąk. Chadzał na czubkach palców, będąc przekonanym, że żołnierze Wielkiej Armii podgrzewają ogniem posadzkę w jego kwaterze... Źródła historyczne odnotowują również epizod niecodziennej szarży marszałka.

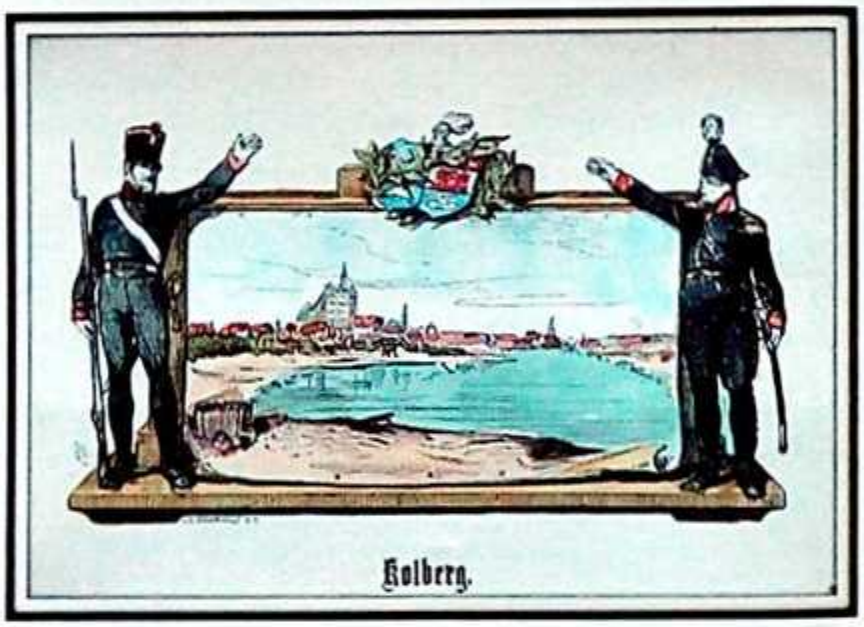

Pałac w Trzebiatowie wraz ze stojącym przed budynkiem pomnikiem poświęconym pruskiemu marszałkowi. Posąg zaginął i do dnia dzisiejszego pozostaje tajemnicą miejsce jego zdeponowania.

Kołobrzeg – światowe centrum kontrabandy.

Pewnej nocy Blücher wybiegł z namiotu i próbował walczyć przy pomocy swej szabli z jakąś wyimaginowaną postacią. Surrealistyczne zachowania pruskiego generała po latach lekarze zdiagnozowali jako „delirium tremens".

Czas wołać po położną!

Szczyt paranoidalnych objawów Leberechta von Blüchera ujawnił się podczas jego spotkania z Arthurem Wellesleyem. Żalił się on wówczas księciu Wellington, że jest w ciąży ze słoniem i że niebawem nastąpi poród. Zaskoczony brytyjski arystokrata dociekał:

– Kiedy to się stało? Jak do tego incydentu doszło?

– Czternaście miesięcy temu – zeznawał wówczas zwycięzca spod Waterloo. – Żołnierz francuski przyprowadził mi nocą słonia…

– Nie martw się – pocieszał książę Wellington. – Ciąża trwa krócej…

– Nie, ze słoniem dłużej – ubolewał pruski marszałek.

By próbować zgłębić podłoże chorych wizji pruskiego marszałka, należy udać się ponownie w podróż do nadmorskiej kołobrzeskiej twierdzy oraz do oddalonego od niej o godzinę jazdy konno Trzebiatowa.

Strażnik europejskiej kontrabandy

Oblężony przez oddziały Wielkiej Armii Kołobrzeg bronił się, będąc zaopatrywanym drogą morską przez angielskie okręty. Zjednoczone Królestwo, koalicjant Prus w walce przeciw Napoleonowi, dostarczało nadbałtyckiej twierdzy uzbrojenie. Po podpisaniu 9 lipca 1807 roku traktatu między Cesarstwem Francuskim a Królestwem Prus, zwanego „pokojem w Tylży", zniesiono oblężenie Kołobrzegu. Jednak mimo nałożonej przez Napoleona dekretem z dnia 21 listopada 1806 roku blokady kontynentalnej, mający w wyniku wcześniejszych dostaw militarnych świetny kontakt z Anglikami mieszkańcy miasta łamali embargo nałożone przez cesarza. Kołobrzeg stał się jednym z głównych ośrodków kontrabandy ówczesnej Europy. Do tutejszego portu zawijały w tamtym czasie żaglowce pod niezwykle egzotycznymi banderami, takimi jak chociażby Stanów Zjednoczonych Ameryki. Pod niespotykanymi dotąd w główkach kołobrzeskiego portu symbolami przynależności państwowej kryły się brytyjskie jednostki pływające, dostarczające zakazane towary. Szlaku przemytniczego pilnował nie kto inny jak dowódca kawalerii, korpusu armii, wszelkich zakonów królestwa Prus i okręgu pomorskiego – von Blücher. W latach 1797–1811 był on w posiadaniu leżącego na przemytniczym szlaku pałacu w Trzebiatowie. To w pokojach tej budowli pruski marszałek zobligowany był wystawiać listy żelazne, upoważniającego francuskich emisariuszy do wjazdu na teren kołobrzeskiej twierdzy, w celu jej kontroli.

Generał Claude Victor Perrin – więzień kołobrzeskiej twierdzy.

Pełniąc funkcję strażnika przemycanych towarów angielskich i kolonialnych, Blücher miał nieograniczony dostęp do lewych specjałów, w tym do uwielbianego przez niego ginu i marihuany. Jak zwykle używał życia. To przypuszczalnie z jego pobytem w Trzebiatowie wiązać należy fobię, którą podzielił się z księciem Wellington. Można przypuszczać, że urojona ciąża ze słoniem zrodziła się w głowie marszałka pod wpływem widzianego przez niego *sgraffito* na ścianie jednego z budynków w tym mieście…

Słonica Hansken

W roku 1639 pojawił się w Trzebiatowie cyrk. Największą atrakcją witanego w tej miejscowości kolorowego korowodu była słynna słonica Hansken. Znająca wiele sztuczek, strzelająca ponoć z muszkietu, zbierająca rzucane w jej kierunku pieniądze, grająca na bębnie i chodząca z chorągiewką noszoną w trąbie wzbudzała sensację mieszkańców miast Europy, w tym Trzebiatowian. Znamy ją z rokowań kończących wojnę trzydziestoletnią, znamy ją z obrazów Rembrandta i Stefano della Bella. Znamy ją również ze swoistej zdrapki ściennej zdobiącej jedną z kamienic zlokalizowanych w pobliżu trzebiatowskiego rynku. Cóż… należy tylko przypuszczać, że słynny marszałek Blücher, który uwolniony został dzięki pojmaniu Claude Victora Perrina, pozostając pod wpływem zakazanych przez Napoleona towarów, widząc słonia w Trzebiatowie… uwierzył że jest „przy nadziei"!

Słonica Hansken odeszła na wieczną wędrówkę 9 listopada 1655, marszałek Blücher 12 września 1819, zaś marszałek Perrin 1 marca roku 1841. Gdyby nie pojmanie Francuza i wymienienie go na Prusaka, z pewnością inaczej mogły wyglądać losy Europy po czerwcowej bitwie rozegranej pod Waterloo. Być może, gdyby nie wymiana jeńców wojennych, generał Vorwärts w niewoli Wielkiej Armii odwykłby od używek. Niewykluczone, że nie byłby „przy nadziei" z największym ssakiem lądowym świata…

Robert Maziarz
Muzeum Kołobrzeskie
„Patria Colbergiensis"

Twierdza Kołobrzeg – mapa turystyczna.
Arkadiusz Woźniakowski
Twierdza Kołobrzeg to rozbudowywane przez stulecia fortyfikacje broniące ważnego strategicznie i gospodarczo miasta oraz portu. Oparta na materiałach archiwalnych i badaniach terenowych mapa pokazuje zachowane budowle przypominające dawną świetność twierdzy i liczne obiekty militarne.
Zamów na
www.odk.pl
tel. 42 631 10 97
42 630 71 41
Księgarnia Odkrywcy

ZWIERCIADŁA WOJNY CZĘŚĆ 1

JACEK JAWORSKI

Magicy, kamuflaż i mistyfikacje na usługach wojska. O dwóch niezwykłych pomysłach fałszowania rzeczywistości.

Jasper Maskelyne i jego magiczna trupa w Nairobi w 1950. Jasper Maskelyne po prawej stronie, dotykający ramienia Yvonne Helliwell, jego asystentki scenicznej. W latach 40. to on m.in. zoorganizował „Magic Gang" – Doświadczalną Sekcję Maskowania, gdzie z powodzeniem stosował np. iluzje optyczne.

Jedna z idei, która zrodziła się w latach 20. XX wieku w hiszpańskich kręgach wojskowych niewątpliwie zasługuje na umieszczeniu jej w rzędzie najbardziej zdumiewających pomysłów militarnych. Jej istota polegała na uczynieniu żołnierzy, armat, a nawet całych armii... niewidzialnymi. Jako środek do realizacji tego celu miały służyć wykonane z polerowanej stali i pokryte chromem lustra ochronne, które odbijały widok otaczającej okolicy i przesyłały go do oczu przeciwnika. Od jego strony miały być widoczne jedynie pola, łąki, lasy, a wszystko to pod parasolem białych chmurek – słowem żadnego niebezpieczeństwa. Nie licząc oczywiście trudnych do dostrzeżenia luf sterczących z otworów luster.

Trudno ocenić realność i spójność takiej koncepcji. Dla armii znajdującej się w warunkach polowych wydaje się dość trudnym znalezienie dostatecznie odmilitaryzowany i neutralny zakątek, bez armat, stanowisk strzeleckich itp., który swym pozornym spokojem mógłby zmylić wojska przeciwnika. Taka czarna magia w połączeniu z drylem wojskowym wydaje się nieco ambarasująca. Chyba nie rozstrzygnięto też kwestii co uczynić gdy „sielski" widok zaczynał cały wpadać w wibracje wywołaną oddawanymi salwami.

Ponad 20 lat później podczas walk w Afryce Brytyjczycy zatrudnili do pomocy słynnego magika Jaspera Maskelyne'a. Swoje zdolności wykorzystał on, wynosząc sztukę wojennego kamuflażu na zupełnie inny poziom niż dotychczas znany wojsku. Niemieccy lotnicy i czołgiści niejednokrotnie padali ofiarą jego pomysłowości, co pomogło gen. Bernardowi Montgomery'emu w pokonaniu feldmarszałkowi Erwina Rommla. To niezwykłe, ale główną bronią Maskelyne'ego były... lustra – tak jak w hiszpańskim pomyśle.

Jasper Maskelyne był idolem londyńskiej publiczności, a jego popisy podziwiali widzowie na niemal całym świecie. Z wybuchem wojny Maskelyne wstąpił do Korpusu Royal Engineers. W ośrodku kamuflażu wojsk inżynieryjnych, gdzie odbywał wojskowe przeszkolenie, zaprzyjaźnił się z Francisem

„Dazzle Lights" nad Kanałem Sueskim, jesień 1941 rok.

Knoxem – czterdziestodwuletnim profesorem Oxfordu i specjalistą od mimikry w świecie zwierząt. Razem trafili na Bliski Wschód, gdzie udało im się przekonać brytyjskie dowództwo do zorganizowania Doświadczalnej Sekcji Maskowania („Magic Gang").

Dzięki niezwykłej pomysłowości zespołu udało się zaaranżować makietę Aleksandrii w położonej o 1,5 km od niej osadzie Marjut. Zbudowano tam ze sklejki sztuczne budowle, całe ulice, a nawet latarnię morską Faros wraz ze światłami. Przez kilka nocy niemieckie bombowce zrzucały na ten fałszywy cel tysiące ton bomb, podczas gdy rzeczywistą Aleksandrię pokrywały całkowite ciemności. Zaraz po bombardowaniu w tym morskim porcie budowano makiety zniszczeń – leje po bombach,„zawalone" domy, poskręcane tory kolejowe wykonane z blaszanej taśmy i tektury itp. Dzienne obserwacje niemieckich lotników i robione przez nich zdjęcia utrzymywały ich w fałszywym przekonaniu, że naloty udały się.

Bill Robson, jeden z ich współpracowników, zastanawiał się, czy nie dałoby się za pomocą wielkich zwierciadeł zasłonić cel, jakim była dla niemieckich bombowców Aleksandria i zmylić ich pilotów. Maskelyne uświadomił mu, że to działałoby, ale tylko do chwili, aż zwierciadła rozlecą się po wybuchu pierwszych bomb. A jednak członkowie Magic Gangu nie zrezygnowali całkowicie z zwierciadeł, a jedynie inaczej je użyli. By zasłonić przed oczami niemieckich pilotów Kanał Sueski, Maskelyne postanowił użyć specyficznych reflektorów – szperaczy, a tym samym„zatopić" go w morzu światła. Wiele jego dotychczasowych sztuczek to wyrafinowane iluzje optyczne, wykorzystujące możliwość światła i jego właściwości, którymi doskonale manipulował. W tym temacie był ekspertem. We wrześniu 1941 roku zbudował ze złomu reflektory, a do stalowej tarcz, dopasowanych do kształtu i wielkości soczewek, zamontował koncentrycznie 24 wypolerowane lustra z blachy o różnych kształtach – kwadratowe, prostokątne, trójkątne, okrągłe i owalne. Nowa konstrukcja, tzw. „oślepiacz", rozszczepiał snop światła na 24 oddzielne smugi, z których każda omiatała taki sam wycinek nieba jak typowy szperacz, a słup światła sięgał wys. 5 km. Jasper doszedł do wniosku, że można zwiększyć efektywność tego statycznego urządzenia, wprawiając 24 zwierciadła w szybki ruch obrotowy, tworzący świetlistą karuzelę na niebie. Każdy z reflektorów został przyśrubowany do pierścienia napędzanego przez mały benzynowy motor. Tempo rotacji dawało się regulować. Wirujące światła na niebie zlewały się w zabójcze, świetlne tornada, zdawały się stawiać cały świat na głowie, oślepiały pilotów (stąd ich nazwa „dazzle lights"), wywoływały mdłości, zawroty głowy i pełną dezorientację. Sam Maskelyne mógł tego doświadczyć, wypróbowując na sobie działanie reflektorów. Przelatując nad nimi w nocy Dakotą C-47, omal się nie rozbił, gdy pilot stracił panowanie nad maszyną. Wzdłuż Kanału Sueskiego rozstawiono 21 takich szperaczy, tworzących wirującą, świetlną kurtynę na odcinku 20 km. Liczne próby przedarcia się przez nią nie przynosiły skutku, a kanał do końca wojny pozostawał otwarty dla alianckich statków i okrętów.

Podobne, lecz nieco prostsze wynalazki zastosowano później dla ochrony przestrzeni powietrznej Anglii. Magiczne zwierciadła Maskelyna stanowiły istotny element brytyjskiej obrony przeciwlotniczej.

Artykuł na bazie mającej się ukazać po wakacjach książki J. Jaworskiego pt. „Curiosa Militaris. Niezwykle Pomysły, Zadziwiające Wynalazki Wojskowe".

CDN <

Jacek Jaworski
Politolog – arabista, historyk wojskowości, autor kilku książek i kilkudziesięciu artykułów.

Wirujące zwierciadła J. Maskelyna.

Wirujące światła latarek stosowane do obrony przestrzeni powietrznej Anglii.

fot. arch. autora, Wikipedia

Numer specjalny „Okrętów Wojennych". Kamuflaże okrętów U.S. Navy cz. I – 1940-1942

Numer specjalny „Okrętów Wojennych" jest pierwszym z serii poświęconej malowaniu ochronnemu okrętów U.S. Navy w czasie II wojny światowej. W prezentowanym numerze skupiono się na latach 1940-1942. Publikacja powstała jako odpowiedź na niezadowalający stan wiedzy w zakresie kolorystyki i sposobów malowania okrętów wojennych w czasie ostatniej wojny światowej. W pracy znalazło się wiele czarno-białych fotografii oraz barwnych plansz.

Zamów na www.odk.pl
tel. 42 631 10 97
42 630 71 41
Księgarnia Odkrywcy

Najbardziej pomysłowe fortele w II wojnie światowej. Breuer William

80 najbardziej nieprawdopodobnych akcji i operacji szpiegowskich i wojskowych.

- Brytyjski agent w niemieckiej szkole szpiegów i niemieccy szpiedzy w Białym Domu;
- Kradzież planów Linii Maginota i tajnej broni Hitlera;
- „Zdobycie" Belgradu przez dziewięciu Niemców;
- Przemycanie okrętów do Wielkiej Brytanii;
- Fałszywa flota podwodna i fikcyjny marszałek polny;
- Tajna agentka Greta Garbo;
- Plan porwania papieża.

Sensacyjna książka wykorzystuje odtajnione dokumenty – materiały archiwalne, wypowiedzi uczestników i świadków wydarzeń, wspomnienia żołnierzy, agentów i cywilów. I odkrywa zakulisowe niekonwencjonalne i ryzykowne akcje, których celem było zmylenie wroga.

Zamów na www.odk.pl
tel. 42 631 10 97
42 630 71 41
Księgarnia Odkrywcy

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Więcej czasopism o historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

NIEZWYKŁE OBLICZA ZWYKŁEJ LAMPY

JANUSZ CHMIELNIAK

Wynalezienie metody destylacji ropy naftowej spowodowało wielkie zmiany w dziedzinie urządzeń oświetleniowych. Paliwa stałe, takie jak wosk czy tłuszcze zwierzęce, oraz dotychczas stosowane paliwa płynne szybko zostały wyparte przez znacznie tańszą i coraz łatwiej dostępną naftę. Zmusiło to producentów do dostosowania lamp i latarń do nowego paliwa. Na całym świecie zaczęło przybywać firm trudniących się wyłącznie produkcją lamp naftowych.

Skupimy się teraz nad lampą naftową, która znana jest każdemu. Można ją nabyć w marketach za kilkanaście złotych. Są to jednak produkty kiepskiej jakości, wykonane zużytymi maszynami z tanich materiałów. Z pierwowzorem sprzed dziesiątków lat łączy ją jedynie kształt...

Najpopularniejszy typ lampy naftowej, Chiny (początek XXI w.) Lampa przygotowana dla potrzeb programu telewizyjnego, pozbawiona fragmentów konstrukcji w celach dydaktycznych.

RÓŻNICA W WIELKOŚCI

By zapewnić sobie znaczącą pozycję na rynku, wytwórcy musieli sprostać rosnącym oczekiwaniom nabywców. Mimo ogromnego bogactwa kształtów, form i wzorów zasada działania pozostawała niezmienna. Prezentowana tu lampa naftowa to najbardziej popularny i znany każdemu wzór. Produkowana była od lat dwudziestych XX wieku w zakładach na całym świecie i po dziś wytwarza się takie lampy w niewielkiej liczbie egzemplarzy. Wydaje się, że niewiele można o niej powiedzieć i że jej postać przetrwała bez żadnych modyfikacji. Postaram się w tym rozdziale dowieść, że było jednak inaczej.

Najprostsza różnica oczekiwań użytkowników dotyczy zapotrzebowania na światło. Nie w każdym miejscu i nie w każdej sytuacji potrzebna jest go taka sama ilość. Sama regulacja wielkości płomienia nie jest tu wystarczająca. By spełnić te oczekiwania, producenci zaoferowali całą gamę wyrobów o takim samym kształcie, lecz znacząco różnej wielkości. Lampy wytwarzające różną ilość światła różnią się oczywiście także zużyciem paliwa.

Najpopularniejszy typ lampy naftowej gospodarczej dla zobrazowania różnic w rozmiarze (od lewej): Feuerhand, Niemcy; Dietz, USA (lata 30. XX w.).

DŁUGOŚĆ ŚWIECENIA

Zróżnicowane zapotrzebowanie na światło to nie wszystko. Różne może także być zapotrzebowanie na czas świecenia lampy. Czas prawidłowej pracy przy średnim zużyciu paliwa waha się od ośmiu do dwunastu godzin. Są jednak sytuacje, kiedy jest to czas zdecydowanie za krótki. Wykorzystując podstawowy model lampy naftowej, producent wyposażył go w ponaddwukrotnie zwiększony zbiornik paliwa, dzięki czemu lampa mogła świecić około czterdziestu godzin.

Lampa z powiększonym zbiornikiem, Feuerhand, Niemcy, (lata 50. XX w.).

LAMPY SZTORMOWE

Lampa z osłoną sztormową, Feuerhand, Niemcy, (lata 30. XX w.).

Lampy były użytkowane w różnych warunkach, które nie zawsze sprzyjały poprawnej pracy. Silne podmuchy wiatru, przedostając się przez otwory wylotowe spalin, mogły powodować cofnięcie produktów spalania i doprowadzić do zgaszenia płomienia. By temu zapobiec, zastosowano boczną osłonę komina. Lampy te zyskały nazwę sztormowych.

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Więcej czasopism o historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

fot. Janusz Chmielniak

Lampa z osłoną odporną na wandalizm, HASAG, Niemcy (lata 40. XX w.).

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Więcej czasopism o historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

PRZECIWSZTORMOWE

Latarka brytyjskich służb łączności LAMP ELECTRIC R.C. Joseph Lucas Ltd. Birmingham, stosowana podczas drugiej wojny światowej. Jako jedyna z latarek nie miała lustra skupiającego światło. Zamiast niego zamontowany był biały odblyśnik, by nie powodować refleksów i ograniczyć ilość światła. Dodatkowo wyposażono ją w obrotową przysłonę w kolorze niebieskim zamocowaną bezpośrednio na odblyśniku i ruchomą osłonę przeciwlotniczą na zewnątrz lampy. Zasilana była dwoma bateriami R20.

Lampa z osłoną przeciwdeszczową, Feuerhand, Niemcy, (lata 30. XX w.).

DO ROWERU

Para lamp naftowych rowerowych z uchwytem bocznym, Feuerhand, Niemcy (lata 30. XX w.)

Naftowe źródła światła znalazły także zastosowanie w pojazdach jednośladowych. Do podstawowego modelu lampy naftowej został dołączony specjalny uchwyt umożliwiający instalację do ramy roweru. Szkła do tych lamp były produkowane w kolorach białym i czerwonym.

Z OSŁONĄ MILITARNĄ

Przejdźmy teraz do zastosowań militarnych, bo to chyba tu producent wykazał się największą pomysłowością.

Posłużono się tym samym, najpopularniejszym modelem lampy jako bazą. Wynikać to mogło z przyczyn ekonomicznych, zważywszy na to, że wyrób pochodzi z czasów drugiej wojny światowej. Jest też inna, nie mniej istotna przyczyna, czyli dostępność części zamiennych. Takie rozwiązanie nie wymagało więc wielkich nakładów finansowych. Producent musiał się skupić jedynie na dodaniu do materiału bazowego specjalnie zaprojektowanej obudowy. Obudowa ta, wykonana w formie osłony, miała spełniać kilka zadań. Musiała umożliwić zaczepienie lampy na pasku, by żołnierz miał wolne ręce. Chroniła także lampę przed mechanicznym uszkodzeniem, osłaniała przed deszczem i wiatrem. Jednak jej najważniejsze zadanie stanowiło ograniczanie kąta świecenia, tak by światło nie było widziane przez lotnictwo wroga. Zadziwiające, jak wiele może zapewnić udogodnień jeden kawałek zwykłej stalowej blachy...

Lampa z osłoną militarną, Feuerhand, Niemcy (lata 40. XX w.).

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Więcej czasopism o historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

Z OSŁONĄ PRZECIWLOTNICZĄ

Ten sam wzór lampy naftowej został zaadaptowany również do celów militarnych w znacznie bardziej zmyślny sposób. Wokół szklanego klosza zamontowano stalowy kołnierz na sprężystych prowadnicach, mający chronić szkło przed deszczem oraz stanowiący osłonę przeciwlotniczą. Wysokość osłony, regulowana w szerokim zakresie, pozwalała na uzyskanie takiego kąta padania światła, by oświetlało ono tylko niezbędną powierzchnię. W wypadku lamp naftowych było to jedyne możliwe rozwiązanie, jakie mogło zminimalizować prawdopodobieństwo zobaczenia światła z samolotów.

Lampa z regulowaną osłoną przeciwlotniczą, Feuerhand, Niemcy (lata 40. XX w.).

Z GRUBYM SZKŁEM

Kolejna modyfikacja znanego nam już dobrze modelu poszła w nieco innym kierunku. Producent sprzętu wojskowego wzmocnił najsłabszy element lampy – szkło. Element pozornie niezastąpiony, a przy tym niezwykle kruchy i delikatny, ustąpił miejsca stalowej konstrukcji szkieletowej wypełnionej szybkami z grubego ciętego szkła, które jest znacznie odporniejsze na uszkodzenia mechaniczne i wynikające z przegrzania. To jedyne w swoim rodzaju udoskonalenie.

Lampa z kloszem wykonanym z płaskich szyb zamontowanych w stalowym szkielecie, Meva, Czechosłowacja (lata 50. XX w.).

Lampa z obudową ostrzegawczą, FROWO, Niemcy (lata 50. XX w.).

SYGNALIZACJA ROBÓT DROGOWYCH

Oświetlenie naftowe znalazło także zastosowanie w jednej z ważniejszych dziedzin życia, jaką jest transport. Nie będę tu jednak omawiał oświetlenia pojazdów. Chciałbym zająć się teraz czymś innym. Otóż to, co dziś jest zmorą kierowców, czyli roboty drogowe, dawniej również stanowiło niemały problem. Niebezpieczne miejsca, stanowiące zagrożenie dla ruchu, tak jak obecnie wymagały stosownego oznakowania. Bariery zabezpieczające i znaki ostrzegające o przeszkodzie mogły być wystarczająco skuteczne w przypadku zaprzęgów konnych. Jednak ponieważ pojazdy z napędem mechanicznym mogły rozwijać znacznie większe prędkości, takie rozwiązanie było zdecydowanie niewystarczające. Jakie więc wynalazki poczyniono w toku ewolucji światła, by rozwiązać ten problem? Jak w wielu poprzednich wypadkach, pojawia się nasza zaprzyjaźniona lampa naftowa w swojej podstawowej formie. Wyobraźmy sobie jednak jej wykorzystanie w tak szczególnych warunkach. Zawieśmy latarnię naftową na barierze przegradzającej drogę. Poddajmy ją działaniu wszelkich możliwych czynników, jakie potrafimy sobie wyobrazić. Najpierw przychodzi nam na myśl czynnik atmosferyczny. Jeśli latarni nie zgasi wiatr, bez wątpienia uczynią to strugi deszczu. Gdy strumienie wody gwałtownie schłodzą zewnętrzną powierzchnię szkła oslaniającą płomień, powstałe wówczas naprężenia bez wątpienia obrócą szklany cylinder w garść bezwartościowych odłamków.

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Więcej czasopism o historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

ODPORNA NA WANDALI

Pozostaje jeszcze czynnik nie mniej destrukcyjny – czynnik ludzki. Człowiek ze swej natury nie zawsze zdolny jest do zachowań racjonalnych. Tak czasem bywa, że pojawia się sytuacja, którą socjologia definiuje jako wandalizm. Jest to niszczenie bez konkretnego powodu cudzego mienia, najczęściej publicznego. Pojęcie to wywodzi się od nazwy starożytnego germańskiego plemienia Wandalów, wsławionego zniszczeniem zdobytego Rzymu.
Akty wandalizmu mogą mieć podłoże trudne do zidentyfikowania w zakresie intencji. Często motywem takich działań może być po prostu nuda. Mogło się zdarzyć tak, że dla zabawy niszczono ostrzegawcze lampy drogowe. Zważywszy na to, że takie działania mogły przynosić wymierne szkody, powstały lampy drogowe w wersji odpornej na wandalizm. Pojawiło się tu kilka ciekawych rozwiązań. Różnią się one zewnętrzną formą, rodzajem użytego materiału i skutecznością zabezpieczenia przed czynnikami destrukcyjnymi. Wszystkie jednak łączy jeden cel: ochronić lampę przed zniszczeniem!

Lampa z obudową podobną do hełmu, Feuerhand, Niemcy (lata 30. XX w.).

Lampa z osłoną odporną na wandalizm, HASAG, Niemcy (lata 40. XX w.).

MADE IN ZSRR

Lampa z pojedynczym ramieniem, ZSRR (lata 80. XX w.).

Nie sposób pominąć tu prawdziwej ciekawostki, rodem zza naszej wschodniej granicy. Nie jest niczym odkrywczym, że w byłym ZSRR procesy ewolucyjne przebiegały nieco inaczej niż wszędzie indziej. Odmienność była manifestowana na wszelkie możliwe i dostępne sposoby. Ta specyficzna postawa objawiła się także w dziedzinie oświetlenia. Jako że to moja ulubiona dziedzina, nie mogłem przejść nad tym do przysłowiowego porządku dziennego. Znów jako przykład podam tu klasyczny model lampy naftowej gospodarczej. Przyjąć by można, że ten niemal doskonały twór techniki, doprowadzony do perfekcyjnej postaci, nie może już zostać poddany dalszym zmianom. Wielu światowych liderów w dziedzinie oświetlenia naftowego dopracowało w najdrobniejszych szczegółach wszystkie elementy konstrukcyjne. Wielkość knota dopasowano do wielkości szczeliny w osłaniającej go kopule. Kształt kominka opracowano tak, by zapewnić najlepszy odpływ spalin. Wielkość otworów dostarczających powietrze dopasowano do wielkości kanałów wylotowych, by wyrównać ciśnienie panujące wewnątrz komory spalania. Wreszcie opracowano taką konstrukcję ramion łączących zbiornik paliwa z kominem, by zapewnić optymalną cyrkulację powietrza i umożliwić katalityczne dopalanie spalin. Te wszystkie elementy, jak i wiele innych, są efektem dziesięcioleci badań i doświadczeń. Czymże jednak one są w obliczu alternatywnej myśli technicznej? Niczym... Pod koniec lat siedemdziesiątych wszystkie udane opracowania posłużyły jako punkt wyjścia do stworzenia zupełnie nowego modelu lampy naftowej. Przy zachowaniu podstawowych elementów, takich jak zbiornik, palnik, komin i szklany cylinder, zewnętrzna forma nie bardzo przypomina dawny, sprawdzony wzór. Trudno tu dociekać takiego stanu rzeczy. Nie sposób określić, czy przyczyna leży w samej potrzebie dokonania zmian, czy też źródło problemu

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Więcej czasopism o historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

O BARDZO MOCNYM ŚWIETLE

Czas teraz na prawdziwą osobliwość. Ta lampa, o wyglądzie dosyć kuriozalnym, przywodzi na myśl składankę przypadkowych elementów. Jest to jednak wyrób fabryczny, wykonany na zlecenie Niemieckiego Urzędu Pracy III Rzeszy. Oparto się tu po raz kolejny na kultowym modelu lampy naftowej. Jednak jej światło było zdecydowanie za słabe. Zamiast tradycyjnego źródła światła w postaci zbiornika z naftą wyposażonego w palnik zastosowano więc palnik karbidowy. Zbiornik zastąpiono obejmą mocującą wytwornicę acetylenu. W efekcie tego specyficznego połączenia powstała lampa, która zamiast świecić światłem o mocy 10 CP (skrót od Candlepower, jednostka wyrażająca natężenie światła równe 0,981 kandeli), wytwarzała około 70 CP. Miało to wielkie znaczenie, zważywszy na fakt, że tych lamp używano głównie do oświetlania miejsc pracy robotników przymusowych pracujących przy drążeniu sztolni podziemnych fabryk zbrojeniowych.

Podstawowy model lampy naftowej fabrycznie zaadaptowany na oświetlanie karbidem, Fremann & Wolf, Niemcy (lata 30. XX w.).

tkwi głębiej. By nie trzymać Czytelnika w niepewności, przystąpię do rzeczy. Otóż w tym zadziwiającym tworze techniki zastosowano tylko jedno ramię łączące zbiornik paliwa z kominem. Wydawać by się mogło, że nic w tym dziwnego, wszak jego przekrój jest dwukrotnie większy niż w tradycyjnych modelach. Można by więc stwierdzić, że zachowano elementarne zasady, a prawa fizyki nie zostały pogwałcone. Niestety, to twierdzenie jest nie do końca prawdziwe. Zastosowane w klasycznym modelu lampy dwa ramiona zapewniały zrównoważenie nadmuchu gorącego powietrza zmieszanego ze spalinami. W tym modelu trudno mówić o równowadze. Gorące powietrze, ze znaczną zawartością produktów całkowitego i niecałkowitego spalania nafty, było kierowane jednostronnie na punkt spalania. W efekcie zostało zaburzone naturalne, grawitacyjne ukształtowanie stożka ognia. Tak przeprowadzony proces spalania zazwyczaj nie przynosi negatywnych skutków, jednak w wypadku gdy spalanie odbywa się w komorze ograniczonej szklanym kloszem, efekty są dosyć łatwe do przewidzenia. Różnica temperatury pomiędzy jedną a drugą stroną szklanego klosza wynosiła ponad osiemdziesiąt stopni. Przy takiej różnicy naprężenia wewnątrz struktury szkła powodują jego gwałtowne pękanie. Tak więc nasuwa się bardzo prosty wniosek. Zazwyczaj w toku ewolucji eliminowane są błędne kierunki i wyodrębniają się nowe. W tym wypadku ewolucja światła rzuciła cień na teorię, tworząc zjawisko paradoksalne, zaprzeczające poznanym i sprawdzonym wzorcom.

Linkrex.net - skracacz adresów internetowych
Więcej czasopism o historii jest tu: http://linkrex.net/KtfJ1NU

POLSKIE LAMPY LAT 50. XX WIEKU

Na zakończenie dwie rodzime adaptacje naszej poczciwej lampy. Oświetlenie naftowe stosowano nie tylko w gospodarstwie domowym, stanowiło także niezbędne wyposażenie pojazdów. Zaprzęgi konne zazwyczaj nie miały własnego oświetlenia. Najprostszym więc rozwiązaniem było dostosowanie do tego celu zwykłych lamp gospodarczych poprzez wyposażenie ich w nakładaną osłonę z białym i czerwonym szkłem. W Polsce produkowano dwa rodzaje takich osłon: jedna była zakładana na lampę, druga zastępowała szkło.

Lampa z osłoną wyposażoną w białe i czerwone szkło, Jupiter, Polska (lata 50. XX w.)

ZAKOŃCZENIE

To tyle w temacie najciekawszych rozwiązań opartych na najpopularniejszym modelu lampy naftowej. Wierzę, że będzie jeszcze okazja, by powrócić do historii światła i zagadek z nią związanych. Moja kolekcja stała się podstawą prac badawczych i wciąż się rozrasta, więc materiału nie zabraknie. Może kiedyś powstanie muzeum, gdzie szersze grono odbiorców będzie mogło zobaczyć efekty mojej ponad trzydziestoletniej pracy, np. listy ukryte w lampie czy latarnia noszona na czele procesji prowadzącej skazańca. Wiele zagadek wciąż czeka na wyjaśnienie. Szerzej zainteresowanych tematyką światła i historii z nim związanych zapraszam do lektury mojej książki „Ewolucja światła", która została niedawno wydana, oraz do kontaktu: januszchmielniak@tlen.pl.

Janusz Chmielniak
Od trzydziestu lat zajmuje się badaniem historii światła. Jego zbiory prezentowane były w Muzeum Śląskim, Zamku Sułkowskich i Zamku Książ.
Autor publikacji „Ewolucja światła".

Lampy naftowe.
Teresa Jabłońska
Lampa naftowa została wynaleziona przez polskiego farmaceutę, Ignacego Łukasiewicza w 1853 roku. Pierwszy raz wykorzystano ją 31 lipca tego roku podczas nocnej operacji wyrostka robaczkowego. Upowszechnienie lampy naftowej było przełomem w dziedzinie postępu technicznego. Jej świetność przypada na lata 1860–1920. W pracy pokazano wiele wzorów lamp, często mających niezwykłe kształty i zdobienia. Omówiono również najważniejsze ośrodki produkcyjne lamp naftowych. Autorka opisała także inne sposoby oświetlania używane od najdawniejszych czasów.

Zamów na
www.odk.pl
tel. 42 631 10 97
42 630 71 41
Księgarnia Odkrywcy

„ÓSEMKA" NA BARETCE BRYTYJSKIEJ AFRICA STAR

BARTŁOMIEJ BŁASZKOWSKI

Wśród emblematów noszonych na baretkach brytyjskich Campaign Stars za udział w II wojny światowej ten wydaje się być wyjątkowy, gdyż łączy się z historią i legendą 8 Armii brytyjskiej.

Africa Star – Gwiazda Afryki – jest brytyjskim odznaczeniem upamiętniającym walki na afrykańskim teatrze działań wojennych. Wyrażając się nieco precyzyjniej, stanowił go obszar pomiędzy Cieśniną Gibraltarską a Kanałem Sueskim, liczony wraz z Maltą, Abisynią, Kenią, Sudanem, Somalilandem i Erytreą. Wyróżnienie przyznawano członkom sił zbrojnych Wielkiej Brytanii, krajów Wspólnoty Brytyjskiej oraz państw alianckich pod dowództwem brytyjskim, pełniącym służbę na tym obszarze w czasie od 10 czerwca 1940 roku do 12 maja 1943 roku przynajmniej przez jeden dzień. Oficjalnie została ustanowiona w lipcu 1943 roku. Miesiąc później ogłoszono, że wraz z końcem 1943 roku wszystkie osoby spełniające kryteria do jej otrzymania mogą rozpocząć starania o uzyskanie baretki. Dystrybucję pełnych odznaczeń rozpoczęto dopiero po zakończeniu II wojny światowej.

Posiada formę sześcioramiennej gwiazdy wykonanej ze stopu miedzi i cynku o wymiarach 44 mm x 38 mm z umieszczonym w centrum awersu inicjałem króla Jerzego VI: GRI VI, koroną królewską posadowioną ponad nim oraz nazwą odznaczenia: THE AFRICA STAR w otoku. Rewers pozostawał zazwyczaj gładki, za wyjątkiem odznaczeń nadawanych w niektórych krajach Wspólnoty Brytyjskiej, gdzie przewidywano bicie na nim danych posiadacza. Wstążka o szerokości 33 mm w kolorze jasnożółtym, z czerwonym pasem biegnącym przez środek oraz nieco węższymi z boków – granatowym z lewej strony i błękitnym z prawej. Kolor jasnożółty nawiązywał do barwy piasku, natomiast pozostałe symbolizowały trzy rodzaje sił zbrojnych: marynarkę wojenną i flotę handlową (granatowy), wojska lądowe (czerwony) oraz lotnictwo (błękitny).

Wojenna baretka Africa Star z fragmentu wstążki zaszytej na podkładzie metalowym z zapięciem agrafkowym, z pierwszą wersją „ósemki" z białego metalu.

Na wstążce Africa Star mogło być założone jedno z trzech – bądź też żadne – metalowych okuć (clasp). Wszystkie z nich wykonane były ze stopu miedzi i cynku, miały jednakowe wymiary wynoszące 5 mm x 31 mm oraz niewielkie otwory w narożnikach umożliwiające przyszycie. Wyróżniały się napisami umieszczonymi w falistym obramieniu zaznaczonym tuż przy krawędzi obrzeża:

- **NORTH AFRICA 1942–4** (dla pełniących służbę

w marynarce wojennej i handlowej, lotnictwie oraz w szeregach 18 Grupy Armii),

- **1st ARMY**
  (dla żołnierzy 1 Armii brytyjskiej służących w okresie od 8 listopada 1942 roku do 12 maja 1943 roku),
- **8th ARMY**
  (dla żołnierzy 8 Armii brytyjskiej służących w okresie od 23 października 1942 roku do 12 maja 1943 roku).

Przepisy nadawcze precyzowały, że na wstążkę nakładano okucie, którego warunki do otrzymania zostały spełnione w pierwszej kolejności.

Obok wersji pełnowymiarowej odznaczenia istniała także miniatura o najczęściej spotykanych wymiarach 20 mm x 20 mm na wstążce o szerokości 16 mm. Zakładano na nią pomniejszone wersje okuć o wymiarach 20 mm x 4 mm. Do ich mocowania służyły dwie zaginane blaszki umieszczone na stronie odwrotnej.

Posiadanie na wstążce Africa Star okucia uwidocznione było przez nałożenie specjalnych metalowych emblematów na baretkę. Były to:

- srebrna róża odpowiadająca okuciu z napisem North Africa 1942–1943,
- srebrna cyfra 1 dla okucia 1st Army,
- srebrna cyfra 8 dla okucia 8th Army.

Ostatniemu z wymienionych poświęcimy nieco uwagi, jednak zanim to uczynimy, w kilku słowach winniśmy przybliżyć dzieje Armii, której stała ona się wyróżnikiem.

8 Armia brytyjska

Sformowana została na bazie Western Desert Force we wrześniu 1941 roku. Po raz pierwszy weszła do akcji podczas operacji „Crusader" prowadzonej w czasie od 17 listopada do 30 grudnia 1941 roku, która zakończyła wielomiesięczne oblężenie Tobruku. Kolejne dni i miesiące 1942 roku to pustynne boje toczone ze zmiennym szczęściem, aż po I bitwę pod El Alamein w dniach 1–31 lipca 1942 roku, która powstrzymała postępy wojsk Osi na Aleksandrię i Kair. Po niej nastąpił punkt zwrotny – zwycięska II bitwa pod El Alamein rozegrana w dniach 23 października – 3 listopada 1942 roku, o której premier Winston S. Churchill wyraził się, że „... nie była ona końcem, czy też nawet początkiem końca, lecz dopiero końcem początku." Po zakończeniu działań w Afryce Północnej 8 Armia brytyjska wzięła udział w kampanii włoskiej. Swój szlak bojowy zakończyła 2 maja 1945 roku, wkraczając do Triestu.

Okucie z napisem 8th ARMY umieszczone na wstążce miniatury Africa Star.

Okucia przewidziane do noszenia na wstążce Africa Star.

Africa Star z okuciem 8th ARMY w zestawie odznaczeń brytyjskich i australijskich, których posiadaczem był uczestnik walk w Afryce Północnej, na Nowej Gwinei i Borneo, – Cpl. Spencer M. Basset.

Uznawana jest za jedną z najdłużej walczących wśród innych armii brytyjskich. Dowódcami jej byli generałowie: Alan Cuningham, Neil Ritchie, Claude Auchinleck, Bernard L. Montgomery, Oliver Leese, Richard McCreery. W jej składzie znalazły się obok brytyjskich oddziały australijskie, greckie, hinduskie, kanadyjskie, nowozelandzkie, polskie, południowoafrykańskie, rodezyjskie i Wolnych Francuzów. Posiadała niepowtarzalny *esprit de corps*, który tak trafnie opisał mjr Bohdan W. Zaremba-Tymieniecki:

„Ósma Armia była jednostką zupełnie specyficzną jak na warunki angielskie. (...) Cztery lata walk pustynnych o zmiennym szczęściu wytworzyły żołnierza zupełnie odrębnego od wojsk metropolii. Rozluźniły się przepisy umundurowania i dyscypliny. Wytworzył się specjalny tryb bycia i jakiś dziwny fason czy styl prawie niemożliwy do naśladowania. Oficer tej armii i jej żołnierz byli tak potwornie „efficient" i „professional" [wydajny i profesjonalny – dop. aut.], że nawet doborowa Africa Corps przyznawała, że znalazła sobie równych. (...) Tak powoli tworzyła się legenda o tej Armii, którą urodziły piaski Pustyni Zachodniej i wielkie hotele Kairu i Aleksandrii".

(B. Tymieniecki, Na imię Jej było Lily, Londyn 1971, s. 160) >>>

fot. B. Błaszkowski, http://www.northeastmedals.co.uk/britishguide/africastar.htm, http://www.awm.gov.au/collection/RE

Baretka Africa Star z „ósemką" tłoczoną z blachy mosiężnej i z imitacją haftu bajorkiem w zestawie z 1939 – 1945 Star i Italy Star na usztywniającym podkładzie z tworzywa sztucznego. Uwagę zwracają zaczepy umożliwiające założenie baretek na sznurkowe pętle wykonane na mundurze. Konstrukcja ta przypomina nieco rozwiązanie stosowane niegdyś w baretkach włoskich.

Wersje i odmiany „ósemki"

Najpowszechniej występującym jest emblemat z białego metalu o wymiarach 9 mm x 5 mm. Charakteryzuje go dość masywny rysunek cyfry, która jest dość płaska, obustronnie gładka, bez rozróżnienia awersu, rewersu, partii górnej czy też dolnej. Nadanie takiej formy miało duże znaczenie praktyczne, gdyż jakiekolwiek jego ustawienie jest poprawne. Do baretek przyszywano go punktowo nicią w partii górnej i dolnej, bądź w centrum. Po raz pierwszy pojawił się na początku 1944 roku, dając początek długim seriom produkowanym przez wiele lat w Wielkiej Brytanii oraz Australii, Indiach, Kanadzie, Nowej Zelandii.

Znane są odmiany pierwszej wersji wytworzone najprawdopodobniej jeszcze w czasie działań wojennych na indywidualne zamówienie. Wspólnym ich mianownikiem jest elegancki sposób wykonania, wierne zachowanie wymiarów i kształtu oraz użycie materiałów, takich jak złoto, srebro bądź mosiądz o polerowanej powierzchni. Obok nich, w tym samym czasie, powstawały również egzemplarze odlewane z różnych stopów metali na podstawie pierwowzoru. Charakteryzują się nieco zmniejszonymi wymiarami oraz często widocznymi na powierzchni śladami ręcznej obróbki. Kolejna odmiana wykonana jest z niskotopliwego stopu metalu o połyskliwej powierzchni i pochodzi z XXI wieku. Egzemplarze te w większości posiadają mocowanie w postaci pary rozginanych wąsów.

Druga wersja pochodzi najpewniej z okresu tuż po zakończeniu II wojny światowej. Proporcje cyfry bez rozróżnienia partii górnej czy też dolnej, tłoczona z cienkiej blachy mosiężnej z naśladownictwem haftu bajorkiem na powierzchni. Wymiary emblematu 9 mm x 5 mm. Spotykane są jako przyszywane nicią. Według nie do końca sprawdzonych informacji, może istnieć jej odmiana tłoczona w białym metalu.

Trzecia wersja – niestety bez bliższych danych o pochodzeniu – o wymiarach 9 mm x 5 mm wykonana w białym metalu. Cyfra 8 posiada proporcje pozwalające na

„Tarcza Krzyżowców", jedna z wielu wersji naszywki naramiennej 8 Armii brytyjskiej. Egzemplarz po plut. Śp. Feliksie Korowayu, Tobrukczyku, uczestniku bitwy o Monte Cassino, podoficerze żandarmerii 3 Dywizji Strzelców Karpackich.

L. Cpl. Alexander B. Thornburn, 156 Parachute Battalion. Nad lewą kieszenią baretka Africa Star z nałożoną „ósemką".

fot. J. O'Reilly, 156 Parachute Battalion..., s.223, http://lisawilsonfamilyhistory.wordpress.com/tag/john-green/, M. Jelita Czerkawski, Wspomnienia Ramzesa..., fot. z wklejki na drugiej stronie okładki

rozróżnienie partii górnej i dolnej. Awers nieco wypukły, rewers gładki.

Czwarta wersja – bez danych o pochodzeniu – proporcje cyfry bez rozróżnienia partii górnej czy też dolnej o wymiarach 9 mm x 5 mm, tłoczona z kontrą w białym metalu.

Varia

Czasem możemy spotkać zestawy odznaczeń, w składzie których znajduje się Africa Star z umieszczoną na wstążce cyfrą 8 w miejscu okucia 8th ARMY, bądź też występującą wraz z nim równocześnie. Trudno jednoznacznie dociec przyczyny takiego stanu rzeczy, pamiętać jednak musimy, że nie znajduje on żadnego oparcia w przepisach.

Dość powszechne są miniaturowe zestawy baretek, w których Gwiazdy – w tym także Africa Star – pozbawione są w ogóle emblematów. Dzieje się tak z racji niemożności ich pomniejszenia do wymiarów miniaturowej wstążki.

Zakończenie

Wśród znaków kojarzonych z 8 Armią brytyjską na pierwszym miejscu znajduje się bez wątpienia jej oznaka powszechnie nazywana „Tarczą Krzyżowców" – żółty krzyż na białej tarczy umieszczonej na czarnym prostokątnym podkładzie. Jako naszywka naramienna znalazła ona swoje miejsce również na mundurach polskich żołnierzy, kiedy po Bitwie o Monte Cassino cały 2 Korpus Polski otrzymał prawo do jej noszenia. Obok niej w gronie tym z pewnością znajduje się także okucie 8th ARMY na wstążce Africa Star oraz odpowiadająca mu srebrna cyfra 8 na baretce. Istnieje ona w wersjach i odmianach czasem znacznie odbiegających od zatwierdzonego oficjalnie wzorca, czego najlepszym przykładem są wszystkie egzemplarze – nazwijmy je umownie – koloru „złotego". Wszystkie, choć niepozorne z wyglądu, posiadają dużą wymowę symboliczną w kontekście afrykańskiej epopei wojennej i legendy 8 Armii brytyjskiej. Nie pozostają one też bez związku z dziejami Polskich Sił Zbrojnych.

Artykuł ten stanowi próbę zebrania, usystematyzowania i opisu dostępnych emblematów w popularnej formie w roku 75 rocznicy zakończenia walk w Afryce Północnej. Przedmiotem zainteresowania, aby w maksymalny sposób uniknąć pomyłek podczas kwalifikacji, były egzemplarze pozostające na baretkach o pewnej proweniencji. Winniśmy jednak pamiętać, że istnieje ogromne prawdopodobieństwo istnienia innych wersji i odmian, które – miejmy nadzieję – wraz z upływem czasu będzie nam dane bliżej poznać.

Bartłomiej Błaszkowski
Historyk, miłośnik kotów.

John Green, Nowozelandczyk, weteran dwóch kampanii wojennych z baretkami odznaczeń: 1939-1945 Star, Africa Star z emblematem w postaci cyfry 8, Italy Star.

Kpr. Marek Jelita Czerkawski, weteran walk w Afryce Północnej i w Italii. Nad kieszenią bluzy battle dress baretki odznaczeń polskich i brytyjskich – w drugim rzędzie, pierwsza z lewej, Africa Star z „ósemką".

BIBLIOGRAFIA

PUBLIKACJE KSIĄŻKOWE

R. W. D. Ball, „Collector's Guide to British Army Campaign Medals", Antique Trader Books 1996.
„Campaign Stars and the Defence Medal, Presented by the Prime Minister, First Lord of Treasury and Minister of Defence to Parliament by Command of His Majesty", London May 1945.
M. Jelita Czerkawski, „Wspomnienia Ramzesa. Tobruk – El-Ghazala – Monte Cassino – Bolonia", Lublin 1995.
P. Duckers, „British Campaign Medals 1914-2005", A Shire Book, 2008.
P. Duckers, „British Military Medals. A Guide for the Collector and Family Historian", Barnsley 2010.
L. L. Gordon, „British Orders and Awards", London 1968.
D. Hall, C. Wingate, „British Orders, Decorations and Medals", Balfour Publications 1973.
R. Neillands, „Eight Army. From the Western Desert to the Alps, 1939-1945", London 2004.
J. O'Reilly, „156 Parachute Battalion from Delhi to Arnhem", Thoroton Publishing 2009.
„G. Rosignoli, Ribbons of Orders, Decorations and Medals", New York 1977.
B. Tymieniecki, „Na imię Jej było Lily", Londyn 1971.

STRONY INTERNETOWE

https://www.gov.uk/medals-campaigns--descriptions-and-eligibility (dostęp: 24 XI 2017 r.)

UDOSTĘPNIONE ZBIORY, POMOC MERYTORYCZNA

Sam F. Adams, Arthur W. Brown, Thomas Burton, Colin Clark, Mike Cooper, Chris L. Davidson, Śp. Robert Depczyński, Śp. Chris Greenway, Monika Jaroszewska, Śp. Zygmunt Jokiel, Reg Lawrence, Okko Luursema, Tadeusz Maliszewski, Śp Daromił T. Miarczyński, Rafał Niedziela, Roger Pilachowski, Śp. Tadeusz Sztyliński, Elżbieta Szyller, Jacek Taklas, Ryszard Terpiński oraz osoby pragnące zachować swoją anonimowość.

WOJNA OD STRONY KUCHNI CZ. 32

WYSTARCZY JEDNA ISKRA...

TOMASZ BIENEK

Zapałki i zapalniczki to jedne z najpopularniejszych przedmiotów osobistych żołnierzy ostatniej wojny. Umożliwiały przetrwanie, dawały namiastkę komfortu, a niektóre marki dzięki wojennym losom przeszły do legendy.

Z żołnierskimi zapalniczkami wiążą się nieprawdopodobne historie i liczne anegdoty, a dziś na pobojowiskach stanowią one często odnajdowane relikty.

Podczas wędrówki po bezdrożach jednym z podstawowych przedmiotów umożliwiających przeżycie jest kieszonkowe źródło ognia. Nie inaczej ma się sprawa na froncie, gdzie zapałki i zapalniczki stanowiły ważne przedmioty wchodzące w skład osobistego wyposażenia każdego żołnierza. Podobnie jak w turystyce, bez tych przyborów nie byłoby możliwe bytowanie w polu. Dysponując ogniem, można było uruchomić wszelkiego rodzaju kuchenki polowe, a także rozpalić ognisko, aby ogrzać się, wysuszyć mundur lub przygotować posiłek. Zapalniczka lub zapałki umożliwiały zapalenie polowych lamp naftowych, karbidowych lub po prostu świec masowo stosowanych do oświetlenia ziemianek czy schronów. W przypadku braku lampy, sama zapalniczka mogła być zastępczym źródłem światła, a zimą można było nad jej płomykiem nawet ogrzać dłonie. Dysponując większą ilością zapałek, można było wymienić kilka paczek z ludnością cywilną np. na artykuły spożywcze – mleko, jajka, cebulę czy czosnek. Na wsi w owym czasie produkt ten był niezwykle cenny. Na froncie do funkcji przyborów związanych z rozpalaniem ognia dochodziły role typowo wojenne – jak zapalanie butelek z benzyną czy podpalanie lontów do ładunków saperskich.

Zapalniczka produkcji niemieckiej w bakelitowej obudowie o wrzecionowatym kształcie.

Na marginesie warto dodać, że ówczesna ranga zapalniczek była znacznie wyższa niż obecnie. Nie były to tanie jednorazówki, ale wielokrotnie napełniane benzyną solidne przedmioty mające służyć przez długi czas.

Najpierw zapałki

W latach wojny w powszechnym użyciu były zapałki. Na ich opakowaniach umieszczano nieraz ciekawe reklamy. Pudełka zapałek pełniły

fot. Tomasz Bienek

też rolę propagandową oraz informacyjną. Ich etykiety ostrzegały przed zbytnim gadulstwem, które mogłoby zdradzić szpiegom ważne sekrety (niemieckie zapałki „Pst!"), z kolei amerykańskie opakowania zapałek ostrzegały żołnierzy przed roznoszącymi malarię komarami. Podczas wojny w armii amerykańskiej i niemieckiej pojawiły się także zapałki sztormowe, palące się nawet w skrajnie niesprzyjających warunkach, przechowywane w szczelnych cylindrycznych pojemnikach z tworzyw sztucznych, m.in. z bakelitu.

Podczas szkolenia żołnierzy wielu armii uczono jak rozpalać ogień przy złej pogodzie. Ciekawą scenę, pokazującą jednocześnie przykre konsekwencje braku źródła ognia, znaleźć można w japońskim filmie wojennym „Ognie w polu". Japońscy żołnierze, odcięci w dżungli na Filipinach, dosłownie umierają z głodu. Kilku z nich znajduje skrytkę miejscowych wieśniaków, zawierającą m.in. bataty (słodkie ziemniaki), ale nie mają możliwości rozpalenia ogniska, aby ugotować zdobycz. Gorączkowe poszukiwania zapałek spełzają na niczym, a jeden z żołnierzy w desperacji zjada bataty na surowo, cierpiąc później straszne bóle żołądka. Grupie udaje się w końcu rozpalić ognisko pierwotnym sposobem, wiercąc patykiem w powalonym pniu i ułatwiając sobie zadanie poprzez podsypanie końca patyka prochem wysypanym z karabinowych nabojów.

Podczas wojny powszechne dziś w survivalu krzesiwa były raczej rzadko spotykane – co nie znaczy, że nie występowały w ogóle. Znacznie bardziej popularne były jednak zapalniczki.

Zapalniczka „Shell"

Wśród wielu modeli używanych w Wehrmachcie zapalniczek jeden szczególnie mocno związał się z wizerunkiem niemieckiego żołnierza. Była to zapalniczka w kształcie pocisku artyleryjskiego, występująca w wielu wariantach. Poszczególne wersje nieznacznie różniły się np. wysokością, która z reguły wynosiła ok. 6 cm. Szpic pocisku stanowił pokrywkę, chroniącą knot i kamień, a zapalniczki te wykonywano zarówno z aluminium, stali, bakelitu jak i fajansu. Zapalniczki te w obecnej nomenklaturze kolekcjonerskiej na Zachodzie określane są mianem „shell" (pocisk). Produkowane były przez różne małe firmy, których nazwy dawno zniknęły w mrokach historii, natomiast wielka ilość producentów przekłada się na wielość odmian tych zapalniczek.

Różne modele niemieckich zapalniczek w kształcie pocisku artyleryjskiego.

Bakelitowa zapalniczka typu „shell" – produkcja z okresu wojny.

Polski monopol

W II RP zapalniczki produkowało też kilka rodzimych firm, istnieje jednak przekaz z lat międzywojennych, związany z paleniem tytoniu i przemytem, który wydaje się tonąć w oparach absurdu. W latach 20. z Niemiec przemycano nie tylko papierosy, ale także zapalniczki, które po tamtej stronie granicy były zacznie tańsze, a ich wybór bogatszy. W Polsce nad dystrybucją zapalniczek czuwał Polski Monopol Zapałczany, chroniący rodzimych producentów zapałek. Dopuszczał on do legalnego obrotu tylko zapalniczki posiadające akcyzę, przez co wzrastała ich cena. Oczywiście efektem było nasilenie przemytu tych przedmiotów, który osiągnął na tyle znaczne rozmiary, że Polski Monopol Zapałczany zatrudnił funkcjonariuszy, którzy w cywilnych ubraniach na mocy przysługujących im uprawnień mogli kontrolować legalność zapalniczek >>>

>>> posiadanych przez obywateli. Zapalając papierosa w parku czy na ulicy, należało mieć na uwadze, że w każdej chwili można zostać skontrolowanym przez zapałczanego agenta.

Zippo

Podczas wojny szeroki wachlarz typowo wojskowych zapalniczek, produkowanych przez uznane firmy, trafiał do oddziałów amerykańskich. Z wizerunkiem amerykańskiego żołnierza związała się wtedy na stałe zapalniczka firmy Zippo Mfg Co z Bradford w Pensylwanii. Utrwalony zarówno przez dokumentowane zdjęcia, jak i wojenne filmy obraz Amerykanina w mundurze posługującego się zapalniczką Zippo obecny jest w popkulturze do dzisiaj, a poprzez realne i filmowe fronty Korei, Wietnamu, Afganistanu czy Iraku ten symboliczny przedmiot trafił do rąk innych lansowanych przez literaturę i kino „twardzieli" – gangsterów, policjantów, najemników; jednak to właśnie lata II wojny światowej są fundamentem tej legendy. Pomimo że większość filmowych scen pokazuje lśniącą zapalniczkę Zippo z nierdzewnej stali, drugowojenna wersja tego przedmiotu mocno odbiegała od tego wizerunku.

Firma Zippo, której założycielem był George Grant Blaisdell, produkowała swój kieszonkowy palnik od 1933 roku wykonany z mosiądzu i chromu. Jednak w wyniku oszczędności po przystąpieniu USA do wojny była zmuszona do przestawienia produkcji na wyroby z blachy niskiej jakości. Pierwsze zapalniczki Zippo stworzone w oparciu o tę technologię szybko rdzewiały, kierownictwo firmy wpadło więc na pomysł, by pokrywać obudowę grubą warstwą czarnej powłoki. Gęsta farba po wypaleniu uzyskiwała porowatą strukturę. Czarna powłoka, określana terminem „black crackle", chroniła mechanizm przed rdzą, a dzięki chropowatej powierzchni zapalniczka dobrze trzymała się w dłoni – nawet podczas deszczu na lądzie czy sztormu na morzu – a to już było atutem dla wojskowych odbiorców. Wojenna seria Zippo znana jest na kolekcjonerskim rynku zabytkowych zapalniczek pod nazwą „1942–45 Black Crackle Zippo", co nawiązuje do jej charakterystycznej obudowy i okresu produkcji. Podczas wojny firma Zippo przestała wytwarzać zapalniczki na rynek cywilny, a cała produkcja została przeznaczana dla amerykańskiego wojska.

To właśnie czarna odmiana legendarnego palnika reklamowana była szeroko w amerykańskiej prasie lat wojny. W kampanii tej posłużono się też wizerunkiem legendarnego amerykańskiego korespondenta wojennego, Erniego Pyle'a, którego uwieczniono na zdjęciu w momencie gdy posługuje się wojenną Zippo (Ernie Pyle towarzyszył amerykańskim

Oszczędnościowa zapalniczka „shell" wykonana z fajansu, sygnowana DRGM.

Niemiecka zapalniczka z pomarańczowego bakelitu.

Kieszonkowa zapalniczka w mosiężnej obudowie z okresu wojny.

fot. Tomasz Bienek, Narodowe Archiwum Cyfrowe

żołnierzom na wszystkich frontach II wojny światowej. Zginął podczas walk na Ie Shimie, wyspie niedaleko Okinawy. Jego wkład w wojenny wysiłek USA i poczytność korespondencji z frontu były tak znane, że wizerunkiem reportera posługiwało się wiele koncernów produkujących dla armii). W jednej ze swoich relacji z frontu Ernie Pyle pisał o wielkiej popularności tych zapalniczek wśród żołnierzy, dodając, że palnik Zippo jest „najbardziej pożądaną rzeczą w szeregach armii". Swoją Zippo chwalił też generał Dwight Eisenhower. Bardzo pozytywnie na temat posiadanego przez siebie egzemplarza wypowiadał się kolejny barwny amerykański dowódca, generał Douglas MacArthur. Żołnierze cenili zapalniczki Zippo za szereg praktycznych cech – dzięki umieszczeniu knota w blaszanym kominku chroniącym przed wiatrem zapalniczka rzeczywiście nie gasła. W przypadku braku benzyny można było wlać do niej spirytus lub nawet mocny alkohol, i działała nadal. Z racji swojego kształtu mogła zastąpić nawet kuchenkę polową – jedną lub kilka zapalniczek wystarczyło postawić na stabilnym podłożu, a nad płomieniem umieścić menażkę lub kubek.

Wokół wojennych zapalniczek Zippo narosło wiele legend i mitów powtarzanych przez żołnierzy. Wśród tych historii najliczniejszą grupę stanowiły opowieści, wedle których kultowy palnik ocalił życie swojemu właścicielowi, zatrzymując nieprzyjacielską kulę. W opowieściach tych musiało być ziarno prawdy. Natomiast dwa potwierdzone przypadki takiego zdarzenia nie są akurat związane z II wojną światową. W 1965 roku w Wietnamie Zippo należące do sierżanta Andresa Martineza zatrzymało pocisk, który trafiłby żołnierza w serce, gdyby nie przeszkoda. Podobne szczęście miał policjant Wilhelm Strebel, który w 1978 roku podczas strzelaniny zostałby trafiony w serce, gdyby nie jego zapalniczka. W innych opowieściach palniki Zippo uratowały życie zestrzelonym pilotom, którzy dawali nimi sygnały w nocy na morzu, natomiast całkowicie mija się z prawdą legenda mówiąca jakoby zapalniczki te produkowali podczas wojny więźniowie lub jeńcy.

Podczas wojny żołnierze US Army używali też zapalniczek firmy Berkeley, o wyglądzie zbliżonym do Zippo.

Ronson – zapala się za pierwszym razem

W armii amerykańskiej wielką popularnością cieszyły się także zapalniczki benzynowe Ronson. Firma Ronson przed wojną była zaciekłym wrogiem Zippo w walce o rynek. Co ciekawe, to właśnie produkt Ronsona był pierwszą seryjnie produkowaną amerykańską >>>

Fabryka zapałek w Częstochowie podczas pakowania, lata 1939-1945.

1

STREICHHOLZFABRIK in PINSK
ФАБРЫКА СЯРНІЧКОЎ, ПІНСКУ

2

Alles für die Wehrmacht

3

ZÜNDHÖLZER
MONOPOLVERWALTUNG REICHSKOMMISSARIAT UKRAINE
СІРНИКИ

4

HAUSHALTSWARE
DEUTSCHE ZÜNDWAREN-MONOPOLGESELLSCHAFT
KLEINVERKAUFSPREIS FÜR 10 SCHACHTELN
PREIS 30PF.
SICHERHEITS-ZÜNDHÖLZER
IMPRÄGNIERT / GLÜHEN NICHT NACH

5

Sicherheits
Zündhölzer
Imprägniert
Zündholzfabrik in Tschechowitz

6

POLSKI MONOPOL
GENERALGOUVERNEMENT
ZAPAŁCZANY

1 Pudełko zapałek z zajętego przez Niemców w 1941 roku Pińska, sygnowana głową żołnierza w hełmie i napisem Streichholzfabrik in Pinsk.

2 Ochronne etui na pudełko zapałek z reklamą jednego z licznych w III Rzeszy sklepów wojskowych, opatrzone hasłem „wszystko dla Wehrmachtu".

3 Kolejne zapałki z okupowanych przez Niemców terenów wschodnich z dwujęzyczną etykietą.

4 Niemieckie zapałki z okresu III Rzeszy.

5 Zapałki produkowane przez Niemców podczas okupacji w Czechowicach Dziedzicach.

6 Okupacyjne zapałki z Generalnej Guberni z „przerobioną" przez Niemców przedwojenną polską etykietką.

>>> zapalniczką benzynową. Wynalazca Louis V. Aronson opatentował ją w 1928 roku (od jego nazwiska pochodzi nazwa firmy oraz jej sztandarowego produktu). Zapalniczki Ronson reklamowane były przez producenta hasłem „zapala się za pierwszym razem". Slogan nawiązujący do dobrej jakości kamienia i knotu, faktycznie umożliwiający błyskawiczne pojawienie się ognia, szybko stał się makabrycznym przezwiskiem czołgu M4 Sherman. Pierwsze wersje tego pojazdu wyposażone były w benzynowy silnik, łatwo zapalający się w momencie trafienia. Żołnierze niemieccy oprócz przezwiska „Ronson" we frontowej gwarze nazywali ten wóz także mianem Tommy-Kocher, co znaczyć miało „maszynka do gotowania Anglików".

W historii kieszonkowych źródeł ognia Aronson zapisał się także jako wynalazca zapałek produkowanych bez użycia toksycznego fosforu i zwycięzca konkursu na tę technologię, rozpisanego przez rząd Belgii w 1893 roku. Amerykanin zgarnął nagrodę w wysokości 10 tysięcy dolarów i kontynuował pracę nad zapalczanymi wynalazkami. Dzięki jego determinacji i pomysłowości podczas I wojny światowej do amerykańskich żołnierzy walczących w okopach trafiały różne wersje zapałek sztormowych oraz wiatroodpornych. Inwencja wynalazcy zaowocowała też pojawieniem się bezpiecznych zapałek – w oparciu o jego technologię wytwarzane są one na całym świecie do dziś. Zapałki produkowane przed I wojną światową miały tę wadę, że mogły przypadkowo zapalić się w kieszeni, jeżeli ich łebki tarły o siebie zbyt mocno. Takich właśnie zapałek używają bohaterowie westernów, zapalając je po prostu o pień drzewa czy ścianę saloonu, ale podziw dla rewolwerowców należy w tym wypadku ostudzić faktem, że nie było specjalnym wyczynem dokonanie takiej sztuki, wobec zbytniej wręcz podatności tych zapałek na zapalenie się.

Poza wynalezieniem zapalniczki benzynowej Aronson opatentował też kilka innych urządzeń tego typu, przeznaczonych na rynek komercyjny, m.in. zapalniczek gabinetowych, stosowanych w biurach czy mieszkaniach, jednak znaczna masa i gabaryty tych przedmiotów czyniły je nieprzydatnymi akurat z punktu widzenia żołnierzy na froncie.

Dunhill i jej kopie

Kolejną kultową amerykańską zapalniczką produkowaną dla wojska była „Dunhill Service Lighter", czyli służbowa zapalniczka Dunhilla. Zapalniczki te produkowano w kolorze brązowym dla armii i w kolorze szarym dla marynarki. Miały cylindryczny kształt, co czyniło je nieco podobne do niemieckich zapalniczek typu „shell". Główną różnicę stanowiła zewnętrzna tulejka na kamień. „Dunhill Service Lighter" trafiały do rąk żołnierzy w tekturowych pudełkach z nadrukowaną na kartonie nazwą zapalniczki.

Firma Dunhill produkowała też dla armii zapalniczki pod nazwą „Fox Hole Lighters" (dosł. zapalniczki okopowe). W przeciwieństwie do wcześniej wymienionych modeli miały dość prymitywną konstrukcję. W zasadzie zapalniczka składała się ze stalowej tulejki, zakończonej mechanizmem krzesającym iskrę, przez którą przechodził długi i gruby knot, zakończony metalową kulką służąca do jego zgaszenia. Zaletami w tym przypadku były niewielka waga i mały rozmiar zapalniczki. Ze względu na prostotę konstrukcji ten model Dunhilla już podczas wojny skopiowało wiele innych firm. W ten sposób do amerykańskiego wojska trafiały m.in. różniące się niewielkimi detalami zarówno w konstrukcji jak i nazwie: Fox Hole Blackout Cigarette Lighter, Imco's Fox Hole Lighter czy Wind King Lighter. Powstała także kanadyjska kopia tego palnika o nazwie Sterling Silver Foxhole Lighter. >>>

Różne zapałki Polskiego Monopolu Zapałczanego.

fot. Tomasz Bienek

Przedwojenna polska ochronna nakładka na pudełko zapałek z kalendarzykiem na rok 1939 oraz reklamą firmy Zagłoba produkującej alkohole. Fabryka ta mieściła się przy ul. 3 Maja 23 w Chorzowie i prowadziła także hurtową sprzedaż piwa.

Rzadkie przedwojenne pudełko polskich zapałek marki Błonie.

>>> Wszystkie wymienione wcześniej amerykańskie zapalniczki trafiały także do żołnierzy pozostałych alianckich armii.

Oprócz dedykowanych dla wojska produktów, amerykańskie firmy dostarczały ogromne ilości zapalniczek o komercyjnym przeznaczeniu, które za pośrednictwem sklepów dla wojska, kantyn w amerykańskich bazach czy po prostu w drodze prywatnych zakupów trafiać mogły na front. Były to np. dość estetycznie wykonane zapalniczki marki Spitfire. Wśród żołnierzy popularnością cieszyły się też zapalniczki benzynowe firmy Bowers Co. z Kalamazoo w Michigan.

Twórczość własna żołnierzy

Osobną grupę żołnierskich zapalniczek stanowią przedmioty pochodzące z tzw. „twórczości żołnierskiej". Z zalegających na pobojowiskach najróżniejszych elementów, bardzo często na drodze żołnierskiej inwencji i pomysłowości, powstawały właśnie zapalniczki, stanowiące jeden z najistotniejszych przedmiotów podnoszących komfort bytowania w polu. Własnym sumptem produkowali je żołnierze wszystkich armii, a efekty ich zdolności określane są w literaturze tematu mianem „trench lighters" (dosł. zapalniczek z okopów). W produkcji tej wyspecjalizowali się zwłaszcza żołnierze Armii Czerwonej, którzy frontowe inklinacje do przerabiania wszelkich bitewnych odpadów na użyteczne rzeczy łączyć musieli z chronicznym brakiem fabrycznie produkowanych przedmiotów osobistych. Niezależnie od teatru działań wojennych, „trench lighters" powstawały najczęściej na bazie wystrzelonych karabinowych łusek. Ich kształt był wręcz wymarzonym komponentem pod frontową produkcję zapalniczek – pusta łuska stanowiła szczelny zbiornik benzyny, a jej szyjka nadawała się, by osadzić w niej knot i prosty mechanizm krzesający iskrę. W analogiczny sposób z łusek większego kalibru radzieccy żołnierze wytwarzali okopowe lampki, zasilane naftą. Do ich produkcji używano radzieckich łusek z działek lotniczych SzWAK 20 mm i WJ 23 mm oraz z wszelkiego rodzaju „muchobojek" o kalibrach od 37 mm do 45 mm, czy znalezionych niemieckich łusek kalibru 2 cm lub 3,7 cm.

Ogromną ilość zapalniczek wykonanych przez żołnierzy pozostawiła po sobie I wojna światowa. Zresztą to właśnie typowe dla tego konfliktu okresy bezczynności w okopach, następujące po rzeziach pozycyjnych bitew, przyczyniły się do rozkwitu twórczości żołnierskiej.

Tomasz Bienek

Entuzjasta historii obu wojen światowych, kolekcjoner żołnierskiego ekwipunku z lat 1914–1945, miłośnik fantastyki i fan rockowej muzyki, polskich gór i polskiego morza. Z wykształcenia humanista, z doświadczenia zawodowego – reporter w prasie codziennej. Autor rubryki „Wojna od kuchni" w miesięczniku „Odkrywca". Wyznawca maksymy stworzonej i wyśpiewanej przez Marka Grechutę: „ważne są dni, których jeszcze nie znamy".

Przedwojenne czechosłowackie zapałki Solo.

fot. Tomasz Bienek

LITERATURA:

HENRY-PAUL ENJAMES, „GI Collector's Guide: Army Service Forces Catalog, U.S. Army European Theater of Operations, Volume I", Histoire & Collections 2009.
CHRIS MASON, „Personal Effects" of the German Soldier in World War II", Schiffer Military History 2006
AUGUSTIN SAIZ, „Deutsche Soldaten", Vesper, Poznań 2009

FILM FABULARNY

„OGNIE W POLU", reż. Shinya Tsukamoto, Japonia 2014

7

8

9

10

11

12

7 Wykonana przez żołnierza radzieckiego zapalniczka z imieniem Wania.

8 **9** Polska zapalniczka benzynowa z firmy Z. Konopczyński z Warszawy z wybitym znakiem akcyzy.

10 Włoskie zapałki z lat 30. z reklamą maszynek do golenia firmy Gillette.

11 Zapałki z logo kanadyjskich struktur YMCA (Young Men's Christian Association – Związek Chrześcijańskiej Młodzieży Męskiej).

12 Bardzo popularne w armii amerykańskiej zapałki marki Independence.

URATOWALI POLSKI SCHRON Z 1939 ROKU. I TO W JAKI SPOSÓB!

MACIEJ KULESZA

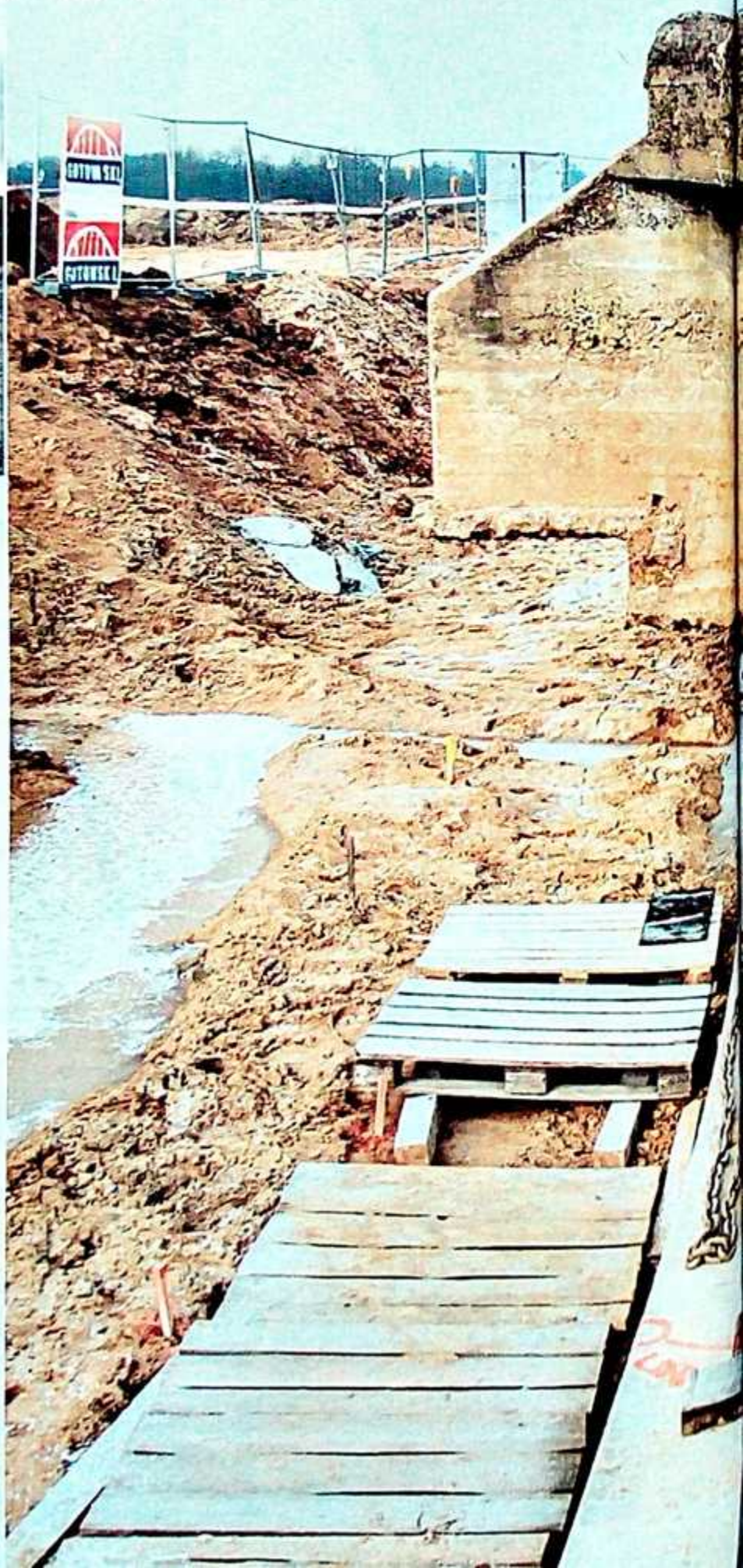

Między Żninem a Szubinem (woj. kujawsko-pomorskie) w okolicach Wąsosza trwają prace ziemne na nowo budowanym odcinku drogi ekspresowej S5 łączącej Poznań z Bydgoszczą. Na środku wytyczonej trasy znalazł się 150-tonowy polski schron bojowy z 1939 roku. Inwestor postanowił go ocalić.

Tradytor dwustronny

Schron był doskonale widoczny dla jadących z Szubina w kierunku Żnina drogą krajową nr 5. Widać go było po lewej stronie na 82,4 km odcinka. W 2009 roku został częściowo odkopany przez pasjonatów. Usunięto krzewy i wyrównano wokół niego teren. Postawiono niewielką tabliczkę z napisem „polski schron 1939".

Wyeksponowany schron to tradytor dwustronny z przelotnią. Miał ryglować ogniem ciężkiego karabinu maszynowego przedpole w kierunku drogi i torów kolejowych. Monolityczna budowla betonowa jest wylana na planie prostokąta. Fundament stanowi płyta zbrojona, która wylana była w pierwszej kolejności. Wewnątrz znajduje się izba bojowa o powierzchni 5,3 m². Ściana czołowa ma grubość 1,2 m, strop – 1,1 m, a tył 55 cm. Przed wejściem >>>

fot. M. Kulesza

Luty 2018 rok. Trwa operacja przesuwanie 150-tonowego kolosa przy pomocy dwóch siłowników.

Zdjęcie u góry. Wrzesień 2017 rok.
Tradytor dwustronny częściowo
odkopany w oryginalnej lokalizacji
w ciągu drogi krajowej nr 5.

4 września 2017 rok. Tradytor dwustronny częściowo odkopany. Po lewej stronie widoczna przelotnia i wejście do schronu.

Luty 2018 rok. Schron ustawiony na specjalnie do tego przygotowanych fundamentach, po których był sukcesywnie przesuwany. Na pierwszym planie siłowniki, które podniosły schron do góry i ustawiły na specjalnych fundamentach, po których został przesuwany.

fot. M. Kulesza

>>>

widać 50-centymetrowy próg chroniący załogę przed eksplozją granatu wrzuconego do przelotni. Wejście nie miało drzwi, były zabezpieczone betonowym okapem. Ściana przednia obsypana była piaskiem z kamieniami polnymi i porośnięta trawą. Na stropie w specjalnych korytkach z ziemią również rosła trawa. Na przedpolu znajdowały się zasieki i pola minowe.

Pamiątki z czasów wojny

Schron wchodził w skład linii obrony Armii „Poznań", która przebiegała na tym odcinku od Władysławowa nad Notecią wzdłuż linii jezior żnińskich do Jeziora Wiecanowskiego. Odcinek „Żnin" liczył osiem takich obiektów. Były one budowane od początku sierpnia 1939 roku. W robotach brali udział saperzy i okoliczna ludność, której płacono za prace przy budowie obiektów. W sumie od Poznania przez Konin, Mogilno, Żnin i Wągrowiec oraz Kalisz, Turek aż do Pleszewa postawiono 112 schronów. Te niedaleko Żnina nie brały udziału w kampanii wrześniowej. Polskie jednostki wycofały się bowiem 5 września 1939 roku na linię jezior barcińskich i w rejon Inowrocławia.

Kilkaset takich schronów w Polsce

W Polsce zachowało się ponad 400 podobnych obiektów (według stanu z 2008 roku) budowanych na podstawie planów z „instrukcji saperskiej". Kilka z nich w ostatnich latach zostało przesuniętych lub zniszczonych, bo kolidowały z nowo budowanymi drogami szybkiego ruchu i autostradami. Największe ufortyfikowane odcinki położone są w okolicach Łodzi, Kalisza i Krakowa. Pozostałe regiony to Modlin, Wyszków, Tarnów i Przemyśl. Bardzo interesujące pod względem budowy i wielkości są obiekty na Półwyspie Helskim – Rejon Umocniony Jastarni, gdzie znajdują się cztery schrony ciężkie i jeden lekki, a jeden nie został ukończony. Warto odwiedzić też Przedmoście Bydgoszcz w Kruszynie. 17 zachowanych schronów (z 40 planowanych) obsadzone było przez 15. Dywizję Piechoty Wielkopolskiej dowodzoną przez gen. brygady Zdzisława Przyjałkowskiego, która wchodziła w skład Armii „Pomorze" gen. dywizji Władysława Bortnowskiego.

>>>

Operacja „bunkier"

Do operacji przesunięcia schronu Główna Dyrekcja Dróg Krajowych i Autostrad (GDDKiA) przygotowywała się od kilku miesięcy. Należało wybrać najlepszy sposób jego przemieszczenia. Najprościej było go podnieść dźwigiem i przesunąć. Po odkopaniu schronu okazało się, że jego fundament jest w złym stanie, więc podniesienie go dźwigiem i załadunek na lawetę samochodową byłby bardzo ryzykowny – mógłby się rozpaść w powietrzu. Taka metoda podniesienia schronu za pomocą dźwigu wymagałaby najpierw przecięcia zbrojenia łączącego fundament ze ścianami żelbetowymi i przeniesienia dźwigiem osobno fundamentów i reszty schronu. W tym wariancie możliwe byłoby także wykonanie nowej płyty fundamentowej, ale taką decyzję musiałby podjąć konserwator zabytków, któremu jednak zależało na ocaleniu obiektu w całości.

Teflon, smar i sześć siłowników w akcji

Wybrano droższe i bardziej skomplikowane rozwiązanie gwarantujące zachowanie obiektu w całości. Po 79 latach od jego powstania miał pokonać 34,3 metry w kierunku wschodnim i spocząć na specjalnie do tego celu przygotowanej działce.

– Całość prac podzieliliśmy na siedem faz. Najpierw musieliśmy schron podkopać. Potem wybetonowaliśmy pod nim ławę, zamontowaliśmy na niej stalowe stołki. Między ławą a schronem umieściliśmy sześć siłowników 140-tonowych – opowiadał w czasie akcji przesuwania Artur Kubera, kierownik robót mostowych na budowany odcinku S5. – Sześć osób pracowało przy przesuwaniu 150-tonowego schronu, co trwało aż pięć dni. Początkowo przesuwał się około metra na godzinę, potem poszło szybciej: w ciągu godziny pokonywaliśmy już trzy metry – relacjonował na specjalnej konferencji zorganizowanej dla mediów Artur Kubera.

Siłowniki podniosły bunkier na taką wysokość, by uwolnić stołki stalowe. Wtedy pracownicy bydgoskiej firmy Gotowski rozpoczęli podkładanie pod ławę specjalnych stalowych sań, w postaci dwuteowników. Na nie został opuszczony schron. Między sanie a żelbetowy tor zostały włożone wkładki teflonowe wysmarowane smarem dla uzyskania poślizgu. Na końcu toru zainstalowano dwa dziesięciotonowe siłowniki, podczepiono sanie do zakotwień na końcu tory i w żółwim tempie zaczęto przesuwać je wraz z obiektem.

Operację zakończono 8 lutego. W przyszłości do obiektu zostanie doprowadzona droga, która pozwoli turystom na oglądanie schronu.

Maciej Kulesza
Wieloletni współpracownik Odkrywcy.
Z wykształcenia historyk, pasjonat historii Bydgoszczy i architektury militarnej.
Z zamiłowania dziennikarz i reporter Gazety Wyborczej. Autor kilkuset artykułów popularyzujących wiedzę historyczną regionu.

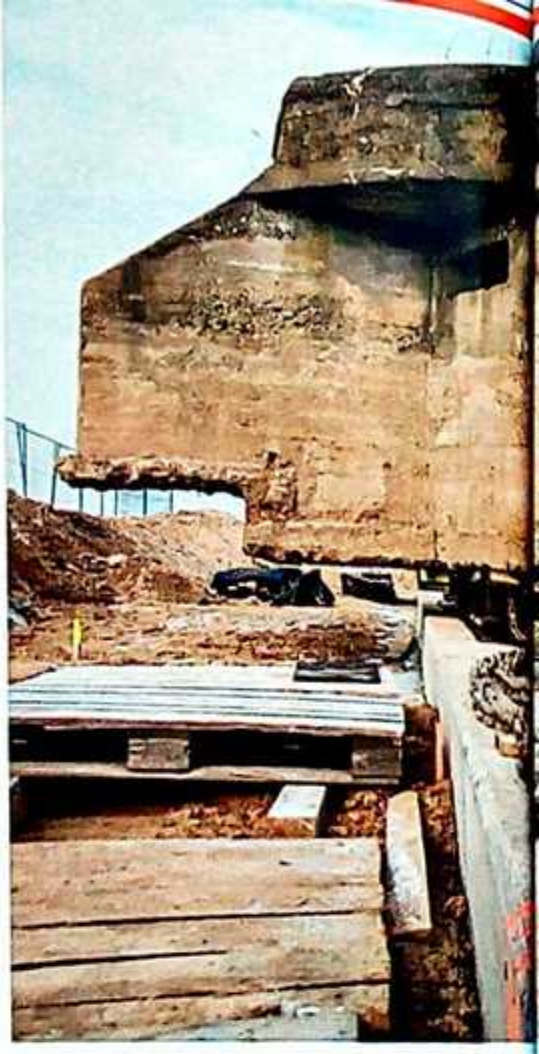

U góry, 28 lutego 2018 rok. Jeden z siłowników, który przesuwał schron na specjalnie do tego celu przygotowanych płozach. Widać dokładnie płytę fundamentowa schronu.

Na dole, 28 lutego 2018 rok. Trwa operacja przesuwania betonowego kolosa. Na pierwszym planie miejsce pierwotnej lokalizacji schronu. Widać w całości betonowe fundamenty, po których został przesunięty w kierunku wschodnim. Schron został na nich ustawiony w nowej lokalizacji.

fot. M. Kuleza

WYKONAWCY STALOWYCH ELEMENTÓW TWIERDZY POZNAŃ

ARTUR JACOLIK

Weryfikacja sygnatur możliwa jest w terenie, jak i na podstawie planów. Jednak wskutek niszczenia się elementów metalowych, często występują trudności z transliteracją samych napisów.

Metal był materiałem obecnym w historii wojskowości niemal od zawsze. Nie dziwi zatem, że stalowe elementy znajdują się także w obiektach fortecznych. Można przypuszczać, że ich twórcy chcieli upamiętniać i reklamować swoje wyroby za pomocą sygnatur. Dokładna analiza tematu wykonawców poszczególnych części metalowych twierdz jest bardzo ważna, ale w polskiej literaturze naukowej często pomijano ten wątek. Zestawienie danych z innych twierdz pozwoliłoby także dokładniej spojrzeć na relacje gospodarcze, szczególnie w świetle dostaw elementów metalowych dla twierdz wschodniej granicy Cesarstwa Niemieckiego.

Fot. 1 Prowadnica pancerza gilotynowego, Fort IVa – opis: Union Horst.

Jeżeli chodzi o fizyczną weryfikację obecności elementów stalowych w poznańskiej twierdzy – jest to niezwykle trudne do ustalenia, bowiem umocnienia pierwszego pierścienia były rozbierane od 1902 roku (formalnie po ogłoszeniu przez Cesarza Niemieckiego, jednak realnie już w latach 90. XIX wieku). Dlatego też w tej kwestii opierać się można o rysunki projektowe, które jednak nie zawsze zawierają informację o producencie poszczególnych elementów.

Drugą składową Twierdzy Poznań, którą objąłem badaniem, była twierdza fortowa, powstała w latach 1876–1890 (dziewięć fortów artyleryjskich tzw. „głównych", dziewięć pośrednich plus kilkadziesiąt schronów międzypola) i sukcesywnie modernizowana do wybuchu Wielkiej Wojny (tutaj z kolei kilkanaście obiektów międzypola powstałych w latach 1903–1904 oraz bardzo duża liczba schronów wzniesionych w ramach przygotowań mobilizacyjnych przed Wielką Wojną). Do naszych czasów przetrwała większość obiektów, jednak w różnym stanie zachowania. Najbardziej wartościowe w tej grupie są forty, które dzięki temu, że są największymi obiektami twierdzy pierścieniowej, zawierają najwięcej elementów metalowych (powstały później niż wewnętrzne fortyfikacje, zatem objęła je już rewolucja przemysłowa, a użycie stali było bardziej rozpowszechnione przy ich budowaniu).

Możliwa jest zatem weryfikacja sygnatur zarówno w samych obiektach, jak i na podstawie ich planów. Jak można się również spodziewać, wskutek upływu czasu i stopniowego ulegania niszczeniu elementów metalowych, bardzo często występują jednak trudności z transliteracją samych napisów, co utrudnia identyfikację. Często jedynymi śladami dla badacza pozostają zarysy w betonie odciśniętych elementów stalowych, w tym również liter. Kłopotliwe jest także dotarcie do niektórych, niedostępnych elementów (np. prowadnic zasłon pancerzy gilotynowych w grubości muru, które można obejrzeć poprzez wejście do środka szczeliny strzelnicy).

Wstępnie części metalowe w fortyfikacji możemy podzielić na trzy grupy. Na każdej z nich można znaleźć informacje dotyczące wytwórcy. Podział jest umowny, bowiem niektóre z elementów mogą stanowić składową innej z poniższych grup:

a) elementy konstrukcyjne,
b) elementy pancerne,
c) elementy wyposażenia. >>>

fot. A. Jacolik

Fot. 2 – Krata forteczna Fortu IXa – opis: Burbach.

Fot. 3 – Dwuteownik w schronie pogotowia Fortu II – opis: Burbach I.

Fot. 4 – Prowadnica przy strzelnicy broni ręcznej, Fort I – opis: Friedenshütte.

Fot. 5 – Prowadnica przy strzelnicy broni ręcznej, Fort IX – opis: Konigshutte.

>>> Pobieżnie przeglądając wykaz elementów metalowych, na których są znaki wytwórców, można również podzielić producentów na dwie grupy pod względem specjalizacji producentów:

a) produkujących elementy w szczególności na potrzeby fortyfikacji (dotyczy to głównie twórców elementów pancernych),

b) produkujących elementy zarówno na potrzeby fortyfikacji, jak i budownictwa niemilitarnego.

Budowniczy z drugiej grupy korzystali zapewne również ze standardowych kształtowników, używanych przy ówcześnie dostępnej technologii budownictwa. Najlepszymi przykładami są tutaj np. sygnatura „FRIEDENSHÜTTE" (obecnie Huta Pokoju) na dwuteowniku wiaduktu linii kolejowej Poznań – Warszawa – ul. Na Podgórniku czy też na stacji kolejowej w Obornikach Wielkopolskich: „B.V.G. BOCHUM", „KRUPP", a także podziemia Kasyna Oficerskiego w Biedrusku – również „FRIEDENSHÜTTE" – przykłady można mnożyć.

Fot. 6
Prowadnica zasłony reflektora, Fort VIIIa – opis: Peiner Walzwerk.

WYTWÓRCY

„BURBACH"

Jak wskazuje sama nazwa – huta znajduje się w miejscowości Burbach, położonej w okręgu Saary, w linii prostej około 770 kilometrów od Poznania. Prawdopodobnie z tego zakładu pochodziła cała krata forteczna dla Twierdzy Poznań (Forty: VIIIa, IXa – fot. 2, Spezial Kriegslaboratorium w Forcie Winiary, jak i w samym mieście: ul. Saperska, ul. Śniadeckich – w przypadku tych dwóch ostatnich są to kraty zdemontowane z fortyfikacji). Żadnych innych producentów tych elementów nie znaleziono. Co więcej sygnatura tego samego wytwórcy widnieje również na schemacie filaru kraty fortecznej we „Fortificatorischer Atlas"[1]. „Burbach" jest także często spotykany na dwuteownikach wzmacniających zmodernizowane schrony pogotowia (fot. 3). Możemy spotkać takie kształtowniki na Fortach: I, II, VI, VII, VIII. Tu do nazwy często dodawano litery, poprzez które być może oznaczano profile, np. „BURBACH D" (Fort VII, przy schodach ze schronu pogotowia do podwalni), „BURBACH A" (Fort VI, przedsionek remizy). Tego typu sygnatury można także napotkać na planach mostów, w tym uchylnych twierdzy poligonalnej (plan mostu wjazdowego do Bastionu VI – 1875, plan mostu uchylnego przed Bramą Bydgoską – 1875).

„GUTEHOFFNUNGSHÜTTE"

Huta położona w miejscowości Oberhausen k. Essen, około 700 km od Poznania. W starszej fazie funkcjonowania twierdzy fortowej Poznań (1876–1890) w ramach modernizacji kaponiery zamontowano prowadnicę na Forcie I Roder, na której widnieje właśnie ta sygnatura. Modernizacje te miały miejsce w latach 1888–1889, kiedy przebudowano strzelnice, dostosowując je do dział 37 mm, przy czym zamknięcie tych strzelnic znajdowało się w środku muru – poprzez pancerz gilotynowy. Prowadnice samego pancerza posiadają właśnie sygnatury „Gutehoffnungshütte"). Poza tym wspomnianą hutę możemy znaleźć jeszcze w obiekcie okresu mobilizacyjnego – schronie piechoty na terenie

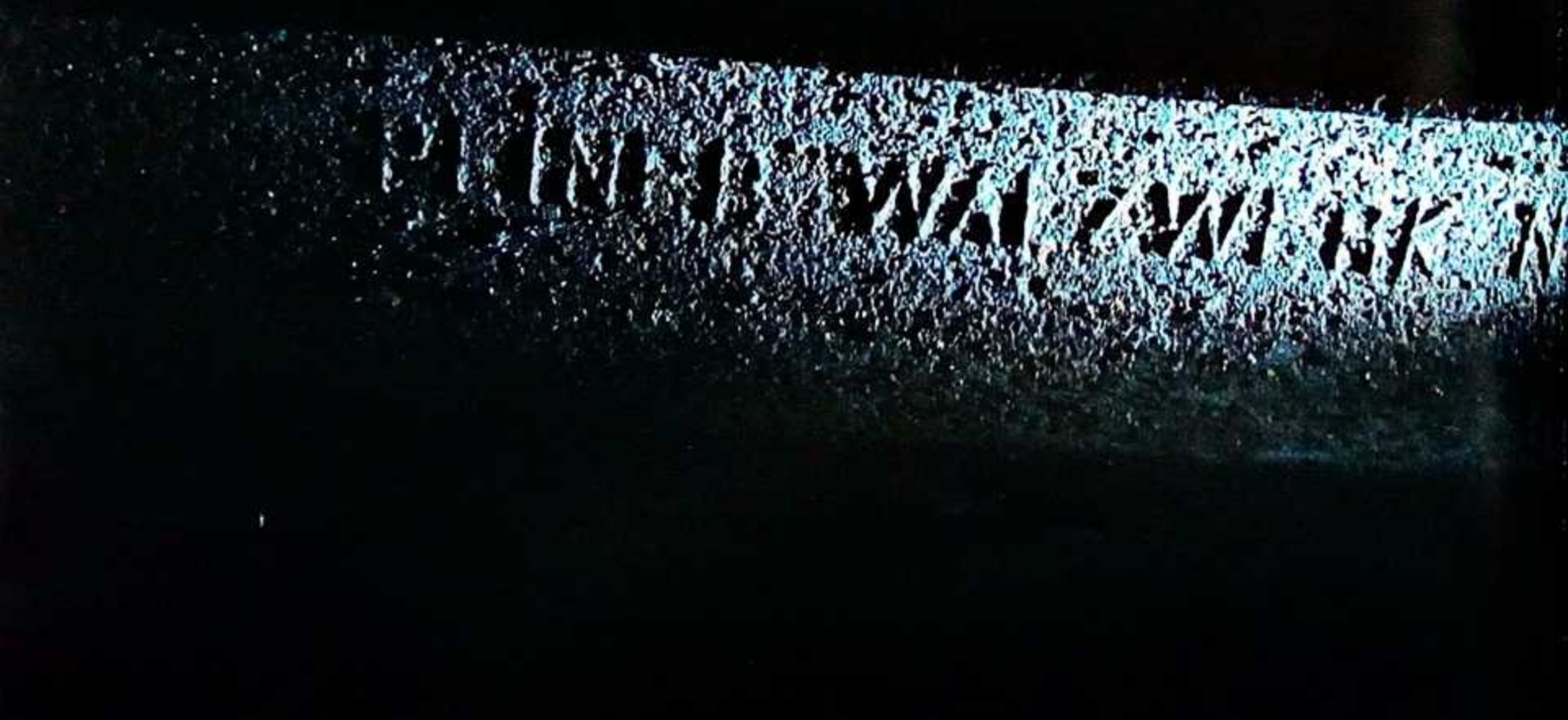

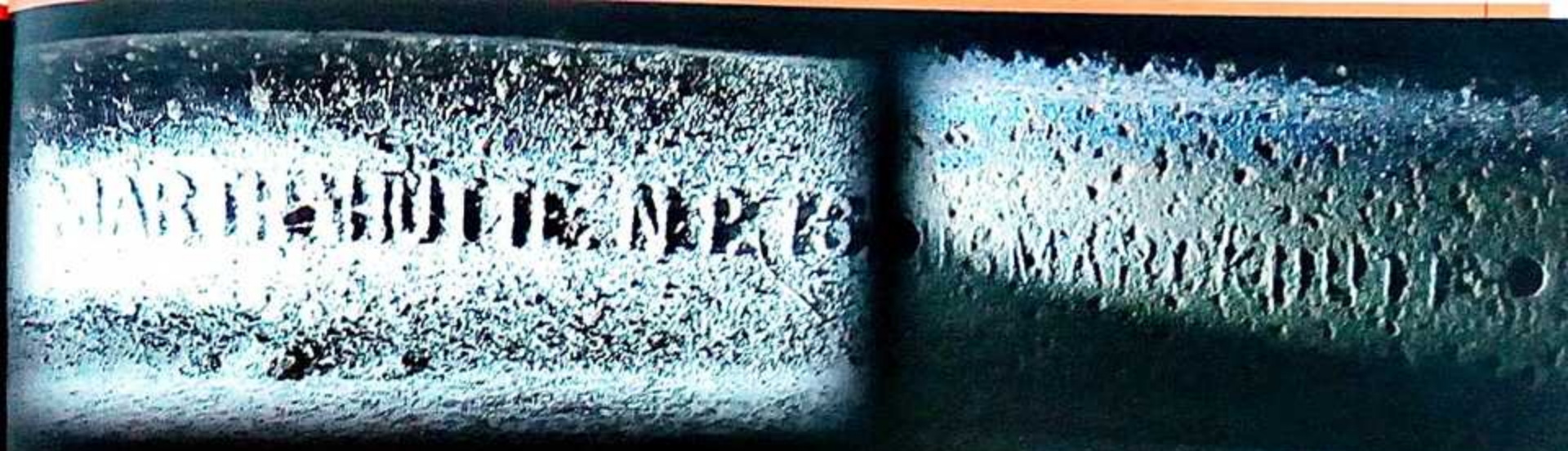

Milostowa, wspartym na dwuteownikach wyprodukowanych właśnie w Oberhausen.

„FRIEDENSHÜTTE"
Elementy sygnowane tą nazwą pochodzą z Rudy Śląskiej – Nowego Bytomia, odległej od Poznania około 270 km w linii prostej. Istnieje stosunkowo duża ilość tych napisów na terenie Twierdzy Poznań (przynajmniej 17), jednak wyłącznie na jednym typie elementu – prowadnicach zasłon strzelnic karabinowych (fot. 4). Są one pionowo przytwierdzone od wewnętrznej strony muru, po obu stronach ambrazury. Wzdłuż nich, pionowo, przesuwała się drewniana płyta osłaniająca środek kazamaty.

„KÖNIGSHÜTTE"
To nazwa zakładu znajdującego się w obecnym Chorzowie, około 260 km od Poznania. W Festung Posen zachowały się trzy napisy, świadczące o obecności wyrobów tej huty. Jednym z nich jest odcisk w betonie – przy wejściu do poterny kaponiery w Forcie II, gdzie część stalowa stropu została skradziona. Kolejnym przykładem jest tutaj Fort VIIIa, gdzie przy prowadnicy zasłony reflektora (notabene w Poznaniu na fortach pośrednich niespotykane) znajduje się prowadnica tego właśnie twórcy. Następnym przykładem jest fragment szyny z kolejki wąskotorowej, wbitej pionowo na drodze krytej Fortu IIIa. Bliskość Fortu wskazuje z pewnością na wtórne militarne wykorzystanie tego elementu, który pierwotnie nie musiał być do tego przeznaczony.

Fot. 7
Ceownik w poternie Fortu VI – opis: Marthahütte.

Fot. 8
Ceownik w poternie Fortu IIa – opis: Bismarckhütte.

Fot. 9
Prowadnica pancerza gilotynowego, Fort III – opis: Gebr. Roechling.

„MARTHAHÜTTE"
Huta położona w Katowicach (250 km od Poznania). W fortyfikacjach poznańskich można spotkać tę sygnaturę jedynie w prześwicie poterny w koszarach Fortu VI (fot. 7), gdzie w poprzek korytarza poprowadzone są właśnie dwa ceowniki „MARTHAHÜTTE". Co ciekawe, napis ten częściej występuje na ceownikach w innych „niemilitarnych" częściach miasta, jak np. nad jednym z peronów stacji kolejowej Poznań Główny lub również pod wiaduktem kolejowym przy ul. Hetmańskiej.

„UNION HORST"
Huta w dawnym Horst, obecnie dzielnicy Essen, oddalona 680 km od Poznania. Jedynie prowadnice pancerzy zasłaniających działa 37 mm na fortach północnych: IV, IVa, V, Va, VI, VIa są oznaczone tą sygnaturą (fot. 1). To tym bardziej ciekawe, że występuje tylko przy tych fortach, które powstały w ramach przebudowy kaponier skarpowych na przeciwskarpowe w końcu lat 80. XIX wieku (Forty: IV, IVa, V, VI, VIa). W przypadku Fortu Va możemy z pewnością stwierdzić, że była to nie modernizacja, ale budowa (6 fortów pośrednich – Ia, IIa, IIIa, Va, VIIa, VIIIa wznoszono w latach 1887–1890), nie mamy natomiast pewności co do konkretnych dat ich powstania, brak informacji).

„PEINER WALZWERK"
Zakład w Peine jest jedyną hutą, która dostarczała elementy metalowe ze środkowych Niemiec. >>>

Fot. 10 Prowadnica przy strzelnicy broni ręcznej, Fort I – opis: BHH.

>>> Położona jest niedaleko Hanoveru około 450 km od Poznania. W Poznaniu możemy spotkać tę sygnaturę tylko w jednym miejscu – na Forcie VIIIa (fot. 6). Dokładna lokalizacja to nietypowy ceownik stanowiący prowadnicę zasłony reflektora. Sam ceownik jest bardzo długi, natomiast widoczna też jest nietypowa modernizacja samych izb działowych kaponier – do starszej ściany jest dobudowany postument, w którym są zamontowane śruby pod działka 37 mm. Zatem pierwotnie kazamaty były przeznaczone pod inny typ dział.

„BISMARCKHÜTTE"

Kolejna huta z Chorzowa, której ceowniki docelowo trafiały do poznańskiej twierdzy. Były one zainstalowane w poprzek poterny przy zmodernizowanym wyjściu piechoty na majdan, które najprawdopodobniej było podstawą pod wentylator (fot. 8). O czym świadczy perforowana płyta pancerna umieszczana przy zakończeniach kanałów wentylacyjnych. Wyroby Bismarckhutte znaleźć możemy na Fortach IIa oraz Ia.

„GEBR. RÖECHLING"

Powyższy napis jest skrócony, w całości brzmi: „Gebruder Roechling", co oznacza nazwę „Bracia Roechling". Żelazo tej firmy trafiało najprawdopodobniej z Völklingen, położonego w Okręgu Saary, oddalonego od Poznania 780 km. Piszę „najprawdopodobniej", bowiem już od 1849 roku spółka ta zajmowała się przetwarzaniem m.in. koksu oraz żelaza, natomiast od roku 1881 przejęła hutę w Völklingen. Wyroby z tego zakładu znaleźć możemy w Poznaniu na Fortach III Graf Kirchbach oraz VII Colomb (fot. 9), gdzie stanowi składową prowadnicy pancerza działka 37 mm, których to modernizacje przeprowadzano w latach 1888–1889.

Fot. 11 Pancerz gilotynowy z sygnaturą IK – Fort V.

„BHH"

Kolejna huta pochodząca z Katowic. Obecnie znana jako Huta „Baildon", natomiast skrót BHH oznacza Baildon Hütte Hegenscheidt. Nazwa ta wymaga wyjaśnienia. W 1823 roku John Baildon zaczął wznosić na terenie dawnej kuźnicy – pudlingarnię (miejsce, gdzie oczyszcza się surówkę np. z domieszki węgla). Następnie zakład przeszedł w ręce mieszczan, a w roku 1865 kupuje ją Wilhelm Hegenscheidt, który później odstąpił ją konsorcjum Oberschleisische Eisenindustrie w Gliwicach. Wyroby owej huty możemy znaleźć przede wszystkim na południowo-wschodnim skraju twierdzy (Forty I i II), gdzie stanowią prowadnice zasłon przy strzelnicach karabinowych (fot. 10).

„FH"

Huta utożsamiana często z Hutą Pokoju – widząc tutaj skrót od „FRIEDENSHÜTTE". Napis ten występuje tylko w jednym miejscu w Twierdzy Poznań – na Forcie II, na górnej prowadnicy zasłony, przy strzelnicy za murem Carnota (przy lewej kaponierze barkowej). Widoczny na nietypowym kształtowniku, który w przekroju przybiera postać litery „L". W Poznaniu dotąd nie znaleziono sygnatury na jakimkolwiek tego typu kształtowniku.

Sygnatury na szynach kolejowych

Szyny kolejowe były używane jako wzmocnienie stropów, które były budowane poprzez narzucenie betonu na utworzony z belek strop.

fot. A. Jacolik

Fot. 12 – Strop schronu amunicyjnego przy Forcie Ia – opis: Osnabrück 1890.

Takie konstrukcje były przede wszystkim wznoszone w okresie mobilizacji przed I wojną światową. W tym czasie w twierdzach niemieckich wzmacniano międzypola forteczne poprzez uzupełnianie ich różnymi rodzajami schronów. Stropy, jako jeden z najbardziej problematycznych elementów budowli (szczególnie kiedy w każdym momencie można było się spodziewać wybuchu walk), można było w ten sposób wzmocnić i szybko osadzić. Daty na szynach wskazują, że w roku 1914, czyli w okresie zasadniczej mobilizacji, użyto szyn mających od 25 do 35 lat:

a) „BOCHUM 1880",

b) „UNION D 1886" – Dortmunder Union; schron mobilizacyjny w rejonie Fortu IXa, w lesie „Dębina" (fot. 16).

c) „OSNABRÜCK 1890" – schron dla baterii artyleryjskiej przy Forcie Ia (fot. 12).

Sygnatury widoczne na planach

Na planach poznańskich fortyfikacji można znaleźć stosunkowo dużo informacji o producentach stali, których wyroby trafiały do stolicy Wielkopolski. Widać je zwłaszcza na dokładnych planach, na których były nakreślone poszczególne elementy forteczne (np. pomosty). Na rysunkach tych znaleźć można najczęściej skróconą wersję nazwy producenta (np. PHÖN.) wraz z numerem profilu (Np. „BURBACH No 6"[2]. Często przy danych elementach znaleźć można wymiary, które trzeba było dopasować do miejscowych warunków terenowych oraz pozostałych konstrukcji, np. murowych. Nieraz przy elementach stalowych widać informacje jedynie na temat numeru profilu[3]. Producent był albo domyślny (a nam nieznany), albo możliwe było podstawienie pod numer profilu wyrobu każdej innej huty.

Często na planach można także znaleźć sygnaturę „PHÖN", a oznaczająca Hutę „PHÖNIX" w Dortmundzie. Do tej pory nie udało się jej znaleźć na terenie >>>

>>> poznańskiej twierdzy[1], a ciekawostką jest fakt, że uwzględnił ją nawet R. Wagner w swoich rysunkach „Fortifikatorischer Atlas"[2] w elementach płaskowników, drzwi, ale też kształtowników, przypominających w przekroju literę „I", a które bardzo licznie występują w fortyfikacjach poznańskich. Podobnie w przypadku oznaczenia „Eisen", które może być zarówno sygnaturą bliżej nieokreślonej huty/walcowni, występujących na planach poznańskiej twierdzy[6]. Niewykluczone, że słowo to może oznaczać po prostu materiał, z którego ma być wykonany dany element, tutaj żelazo.

Sygnatury elementów pancernych

Tu kwestia określenia producenta jest bardzo kłopotliwa, dlatego że sygnatury nie pozwalają na bezpośrednie, szybsze określenie. Są to często skróty cyfrowo-literowe, które mogą zapewne oznaczać nie tyle producenta, co numer partii czy też wersji. Wiadomo, że w niektórych przypadkach zauważyć można tabliczki znamionowe z dokładnym określeniem wytwórcy, miejsca, często numerem elementu. W obiektach poznańskiej twierdzy spotykamy oznaczenia:

a) „IK" [z koroną powyżej liter] – dotąd spotykane na zasłonach strzelnic działek 37 mm, zarówno w kaponierach rewersowych jak i skarpowych, na Fortach: I, V, (fot. 11). Sygnatury te są umieszczone ok. 3 cm poniżej otworu, na którym był zawieszony hak – do niego przyczepiano łańcuch, służący do opuszczania bądź podnoszenia zasłony. Ta, wraz z prowadnicami, znajduje się wewnątrz konstrukcji muru. Dotąd nie udało się zidentyfikować producenta elementów z tą sygnaturą, jednak korona ponad literami może sugerować bezpośrednie powiązanie z instytucjami państwowymi (być może Ingenieur Komitee – Komitet Inżynieryjny),

b) „KF" – spotkana na pancerzach zasłony działa 37 mm w kaponierze Fortu VII, podobnie jak „IK". Napis występuje jednak bez znaku korony. Podobnie jak poprzednia, dotąd niezidentyfikowana, wymaga poszerzonych badań.

c) Spotkana na kopule obserwatora W.T. Neu w Forcie III, od zewnętrznej strony. Jest najbardziej skomplikowaną sygnaturą, jaką można spotkać w Twierdzy. Na drugiej kopule tego typu – na Forcie VIII Grolman, pomimo dokładnych oględzin, nie stwierdzono żadnej sygnatury w tym miejscu. Napis ten wygląda w następujący sposób:

„31A
8
515PP
3R4C"

Elementy wyposażenia

Sygnatura „KK7" – na boku ściennego podgrzewacza fortecznego, w tym wypadku w pomieszczeniu lewej kaponiery skarpowej Fortu VI (fot. 14). Podobnie jak w przypadku elementów pancernych (a tu mamy wszak element wyposażenia) – producent trudny do ustalenia. Tak samo wygląda kwestia sygnatury „KED" w tym samym miejscu.

Sygnatura „[strzałka] HT" – napisy te możemy znaleźć na płaskownikach wrót do remiz artyleryjskich na Forcie I. Strzałka położona przy sygnaturze wskazuje bardziej na sposób osadzenia drzwi (czy też płaskownika) niż na samego producenta elementu stalowego (fot. 15).

Inne miasta

Sygnatury widniejące na elementach stalowych występują także w innych miastach – twierdzach. Ograniczę się jednak tylko do wymienienia obiektów, na których znajdują się opisane wcześniej przeze mnie sygnatury, ponieważ temat ten wymaga dalszych badań.

a) „BURBACH" – dwuteownik podtrzymujący strop zmodernizowanego schronu pogotowia na Forcie IV Yorck (Toruń).

b) „UNION HORST" – dwuteownik wspierający konstrukcję wieży działa w Baterii Doświadczalnej A.B.IV w Toruniu. Można również napotkać we Wrocławiu, w schronach okresu mobilizacji.

c) „GUTEHOFFNUNGSHÜTTE" – prowadnice zasłony działka 37 mm w kaponierze rewersowej Fortu I Buchta (Toruń). Także we Wrocławiu spotyka się w konstrukcji nośnej schronów mobilizacyjnych.

Odkrywanie nowych sygnatur w pozostałych fortyfikacjach na terenie Polski (a zapewne i w samym Poznaniu) niesie za sobą ogromny potencjał badawczy. Po zebraniu danych z reszty twierdz niemieckich na terenie Polski, moglibyśmy otrzymać ogólny zarys powiązań gospodarczych poszczególnych twierdz (a w skali globalnej – całego regionu wschodniego Cesarstwa z resztą kraju). Co więcej, na pewno część z nich, przejęta przez państwo polskie, na pewno produkowała także stal na potrzeby polskiej fortyfikacji, o czym świadczy chociażby dwuteownik umieszczony w jednym z obiektów odcinka fortyfikacyjnego „Nowogród" – nad jednym z wejść jest taki ze sygnaturą „HUTA KRÓL. NP.20", czyli wykonana w dawnej „Königshütte".

Fot. 13 Pancerz gilotynowy z sygnaturą KF – Fort VII.

Fot. 14 Ściana małego piecyka ściennego, Fort VI – opis: KK7.

Fot. 15 Płaskownik przy wejściu do remizy, Fort I – opis: [strzałka] HT.

Fot. 16 Strop schronu mobilizacyjnego – las Dębina, opis: Union D 1886.

Artur Jacolik
Historyk wojskowości, członek Stowarzyszenia Miłośnicy Twierdzy Poznań. Badacz dziejów i konstrukcji poznańskich fortyfikacji. Niniejszy materiał powstał na podstawie badań autora od roku 2013.

PRZYPISY

[1] A. R. Wagner, Fortificatorischer Atlas. Gebrauch an Militair-Bildungs-Anstalten und zum Selbstunterricht, Blatt III, Fig. 18.
[2] Special-Project einer neuer Thorpassage in der Verlangerung der kleinen Ritterstrafe, 31 sierpnia 1880r.,
[3] Bau-Entwurf fur den Ausbau des Ziegeleiweges, 31 października 1888r., GSTPK, sygn. XI HA, FPK, E nr 71686.
[4] Entwurf fur Umbau der Bromberger Thorbrucke in der Festung Posen, 27 maja 1875r., GSTPK, sygn. XI HA, FPK, E nr 71632.
[5] R. Wagner, Fortificatorischer..., Blatt VI, Fig. 54 i 55.
[6] Bau Entwurf fur die Erneuerung des Oberhauses der Dombrucke in der Festung Posen, 1 czerwca 1886, GSTPK, sygn. XI HA, FPK, A nr 71074.

fot. A. Jacolik

KSIĘCIUNIO

RADOSŁAW BICZAK

EKSPLORATOR, POSZUKIWACZ, PODRÓŻNIK, AUTOR KSIĄŻEK. KOPANIE ROWÓW MELIORACYJNYCH I ZBIERANIE ZŁOMU NIE SĄ MU OBCE. DZISIAJ INSPEKTOR DS. OCHRONY ŚRODOWISKA NA DUŻYM KONTRAKCIE.

Wypłynęła na wierzch afera, przy której wszystkie nielegalne poszukiwania, zabytkowe granaty czy kurhany rozdrapane chciwymi paluchami, to nędzny support przed głównym wykonawcą. Gwoździem programu jest kapela o swojskiej nazwie „Rodzina Czartoryskich", a przedstawienie dotyczy zapłaconych pieniędzy przez Rzeczypospolitą za zabytki ważkie dla dziedzictwa narodowego. Wydane pieniądze do małych nie należą – jakieś 100 milionów euro wyszło i jest, jak informuje w oficjalnym komunikacie Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, zaledwie namiastką wartości całej kolekcji „Książąt Czartoryskich", bo sam obraz „Dama z Gronostajem" autorstwa Leonarda da Vinci wartość tych 100 mln przekracza. Do tego trzeba dorzucić jeszcze 86 tys. obiektów muzealnych, 250 tys. zbiorów bibliotecznych plus zabytki utracone w czasie działań wojennych, a nawet rekompensata za znacjonalizowany po II wojnie światowej zespół pałacowo-parkowy w Sieniawie. Afera wybuchła, bo okazało się, że pieniądze poszły na konta w Lichtensteinie, córka księcia oburzyła się na tatusia, ktoś zaczął zadawać pytania, czy Skarb Państwa mógł to w ogóle kupować od Czartoryskich. To już szczegóły, które można sobie doczytać i perorować z prawnikami. Ja się cieszę, że kupiliśmy. Super. Świetne zabytki zostały w Polsce, a to, co właściciele robią z hajsem, to nie moja sprawa. Właśnie – właściciele? Jak podaje MKiDN: „Kolekcja Książąt Czartoryskich od chwili rozpoczęcia gromadzenia zbiorów przez ks. Izabelę Fleming-Czartoryską w 1801 roku była własnością prywatną rodu Czartoryskich". Ale jak to mogą udowodnić? Przecież teraz, przy okazji zmienionej ustawy oraz podejściu władz i sądów – jeżeli nie masz paragonu poświadczającego zakup danego zabytku, to posiadasz go nielegalnie. Gdzie paragony księżnej Izabeli? Ktoś się im przyjrzał czy wyblakły wraz z upływającym czasem?

Diabli biorą, bo z jednej strony brakuje definicji zabytku. Pytając o nią, słyszę od archeologów, urzędników i historyków, niczym mąż łapiący kochanka w sypialni żony: „to nie jest tak, jak pan myśli". Z drugiej strony, jeżeli znajdę coś, co przypomina zabytek, to powinienem zgłosić, bo popełnię przestępstwo. Dobra, ale jak mam wiedzieć, czy coś przypomina zabytek, jak nikt nie potrafi jasno powiedzieć, co to jest zabytek? Jeszcze lepsze jest tłumaczenie, że to, co jest zabytkiem dla jednego archeologa, dla drugiego już nie musi. Dzięki temu dochodzi do takich absurdów, że w trakcie rewizji u poszukiwacza policjanci zatrzymują jakieś skorodowane hitlerowskie hełmy, bo gość nie może udowodnić, że zdobył je legalnie (paragon), mamy zakręconych jak ślimak w domku policjantów, którzy zatrzymują zdjęcie babki zrobione w „przedwojniu", argumentując, że: „archeolog powiedział, że, co przed 1945 rokiem, to zabytek, a tu data jest napisana…". Zabezpieczają. Na cholerę RP hitlerowskie skorupy czy portrety antenatów?

Teraz, chcąc robić archeologiczną karierę, wystarczy zamiast wykopów zajmować się prasą i to nie naukową. Jeden taki sprytny wypatrzył w magazynie o wystroju mieszkań, że na półce stoją „gary" ani chybi z kultury łużyckiej i mają jakieś 3000 lat. Naukowiec powiadomił policję, a że trzydzieści wieków to nie w kij dmuchał, więc funkcjonariusze wpadli i zatrzymali przedmioty. Właściciele tłumaczą, że nie wiedzieli, co mają. Dostali je 15 lat temu od nieżyjącego obecnie znajomego. Ależ pech – nie są poszukiwaczami, nie ma wykrywacza metalu, straszna historia. Dodatkowo powielane są kolejne bzdury, że posiadanie takich przedmiotów jest nielegalne, a zabezpieczona ceramika po uzgodnieniach z NID-em trafi do muzeum. Tak? A jaka jest podstawa prawna takiej konfiskaty? Gdzie ukochany kontekst? Gdzie własność prywatna? A Czartoryscy? To wychodzi, że księciunio może, a Kowalskiego za zdjęcie babci zamkną? Dlatego w tym, tfu, kontekście, to dobrze, że RP zapłaciła Czartoryskim, może w przyszłości ktoś pójdzie po rozum do głowy, czy dobrze jest każdy przedmiot kwalifikować jako zabytek.

Jeżeli coś macie, a macie – piszcie na: **biczakrad@gmail.com**